TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE
WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XVIII ZESZYT 1—2

*

TREŚĆ

*

KRAKÓW, STYCZEŃ 1934 R.

REDAGUJE PRZY WSPÓŁUDZIALE KOMITETU REDAKCYJNEGO
JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

TATERNIK

ROCZNIK XVIII ★ KRAKÓW, STYCZEŃ 1934 R. ★ ZESZYT 1—2

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE

NA GRANI BRENVA

Schronisko Torino. Sala jadalna zatłoczona. Jakiś wolny kąt gdzie siedzimy z dwoma znajomymi alpinistami: Włochem i Francuzem.

«Nie przejdziecie Sentinelle» słyszę. «Czemu?» «Lawiny... Ale chodźcie z nami, zrobimy razem Brenvę». «Nie».

Wygodna noc i słońce pięknego poranka. Niebo prawie czarne, tak czysty błękit. Tylko na Sentinelle wisi chmura. Skąd? Niewiadomo. W południe ruszamy. Chmura nie zeszła. Nie rozumiemy.

Ciemna nić na lodowcu Géant. Gdzieś daleko na niej dwie większe plamy. Zbliżamy się ku sobie i rozpoznajemy naszych znajomych. Co słychać? «Byliśmy pod Col de la Fourche». «No i co?» «Dwóch Austrjaków poszło o ósmej, więc nie było poco wychodzić, drogę i tak utorują, ale wy nieprzejdziecie. Widzieliście lawinę na Sentinelle?» (Rozumiem wreszcie — ta chmura). «W takim razie może macie rację». «Wracajcie z nami — wyjdziemy razem o jedenastej wieczór». «Cały materjał biwakowy na plecach i wracać 300 m dogóry? Nie». «No więc?» «Obudzicie nas rano na Col Moore».

Silne uderzenia północnego wiatru, przejmujące do kości, popędzają nas. Przed szczeliną brzeżną wiążemy się. Brniemy śladem Austrjaków po spadach przełęczy. Nachylenie bardzo silne i wreszcie nagi lód. Ślady skręcają w lewo, na skały. Raków zdjąć nie można, bo granit mocno przeplatany lodem. Grań. Znów jesteśmy oblani słońcem. Ale huragan dmie potwornie.

Pod nawisem lodowego siodła Col de la Fourche widzimy siedzących Austrjaków. Rozpoczynamy wesoły zjazd. Wicher zdziera linę na południowe zerwy. Nie można obliczyć, czy jej starczy. Westchnienie ulgi; starczyło w sam raz. Klubowa 50-ka przeszła chrzest.

Austrjacy idą na Brenvę. Chcieli na Sentinelle, ale — lawina. Będą szli całą noc, bez biwaku.

Ruszają. My nie. Wreszcie i na nas czas. Jeszcze jeden zjazd, potem stopnie w śniegu. Skok 4—5 m w dół, przez szczelinę brzeżną. Jestem po pas wkopany w śnieg. Jedną nogę udaje mi się wyciągnąć, lecz drugą muszę odkopać czekanem.

Trawersujemy Brenvę, mijamy Austrjaków gotujących kolację. Na Col Moore zakładamy biwak. Staszek wspina się na jakiś skalny taras powyżej, mnie czekają dwie godziny kopania i rąbania. Mam zato jednak wreszcie wygodną grotę z ujściem na południe. Huragan z północy może wiać. Cisza zupełna. Przez otwór widzę kilka gwiazd i fantastyczne zarysy ściany Mont Blanc. Ten bezmiar pusty i wspaniały działa na mnie jak kobieta: odurza mnie...

Czyż ci Austrjacy przestaną wreszcie hałasować? Trwa to i trwa — przeszli wreszcie...

«Hallo — jak się spało?»

To czwórka francusko-włoska mija nas. W pół godziny później, o szóstej, i my ruszamy. W kwadrans już, biorąc uskok wprost, mijamy ich. Jakieś długie i niemiłe obejście drugiego, wysokiego uskoku, łatwemi, kruchemi skałkami. Wreszcie śnieg. Głębokie ślady Austrjaków każą się spodziewać dużego wysiłku. Jest on jednak ponad przypuszczenia: zapadamy się znacznie głębiej, niż oni, którzy szli nocą. Działanie słońca na śnieg jest wprost zadziwiające, jak na tak wczesny ranek.

Gdzieś na grani doganiamy Austrjaków. Odpoczywają po nocnej drodze, grzejąc się w słońcu. Nareszcie mamy przed sobą czystą biel śniegu. Czeka nas ciężka, ale pionierska praca. W tej chwili coprawda widzimy tylko jej przykre strony: spotęgowany wysiłek na nudnym i nieciekawym odcinku.

Ale oto stoimy już u początku słynnej Arête de Glace. Dla samego jej przejścia, dla samego jej widoku, warto było tu przyjść. 150 m długa, nadzwyczaj ostra, prawie pozioma, śnieżna grań, niezmiernie eksponowana w sobie strony. Dopiero na niej czuję całe piękno tego, że jest nieskalaną, że pierwsze ślady na niej my zostawiamy. Za piękna, za wspaniała, by ją robić czyjemiś śladami.

Zatrzymujemy się. Fotografuję Staszka na tle Grandes Jorasses, które tak stąd łagodnie wyglądają. Jedyny zresztą spokojny widok. Wszędzie indziej bowiem, narzuca się groza potwornych, białych, gdzieniegdzie splamionych zerw.

Aiguille Blanche, Col de Péteret, skały Sentinelle plują lawinami. A nad tem białem, wrogiem pustkowiem, złote słońce na granatowem niebie. Jego promienie wlewają życie w serca i w ciała, zmrożone wściekłą wichurą z północy.

Już grań za nami. Mija półtorej godziny poświęconej na odpoczynek. Nadchodzą Austrjacy i również siadają. Mija dalsze pół godziny. Pakujemy worki i znów brniemy powyżej kolan w śniegu. Staje się to uciążliwe, ponad wszelki wyraz. Nad nami wisi górna zerwa serac'ów; zda się grozić nam natychmiastową potężną lawiną. Nie jest to wcale czcza groźba. Nie dalej, jak sto metrów w lewo odnas, spływa zwolna bezustanna lawina, jakieś dwieście metrów szeroka, ale dość płytka. Co chwila ciszę rozdziera huk jakiejś innej, potężniejszej.

Zaczynam pragnąć by ten śnieg już się skończył, by iść wreszcie w lo-

dzie i by wyjść z pod groźby tej barjery. Długo jednak jeszcze musimy czekać, nim wreszcie dostajemy się na lód. Zamiast zapadania się, rąbanie stopni. Po paru już chwilach zaczynam się zastanawiać co lepsze: czy praca w lodzie, czy ta poprzednia mordęga w śniegu. Trudno rozstrzygnąć ten tak prosty, a jednocześnie tak zawiły problem. W tej chwili zresztą inna rzecz staje się dla nas o wiele bardziej interesująca. Oto Austrjacy, którzy już dawno ruszyli, zaczynają przybliżać się do nas zastraszająco szybko. Nie dziwi nas to bynajmniej, bo przecież mają nasze ślady, ale i nie cieszy.

«Hallo — Staszek, widzisz ich?» «Widzę». «Za godzinę dogonią nas, jeśli tak dalej pójdzie». «Za godzinę, albo i wcześniej».

Ach nie, wszystko tylko nie to. Tyle czasu prowadzić, tyle pracy i siły w to włożyć, a pod koniec dać się komuś wyprzedzić? Skończyć jako druga partja, i to czyimś śladem?

Żaden z nas nie zgodzi się na to. Więc co, wyścigi? Całe szanujące się taternictwo oburzy się na nas i odmówi nam prawa do uważania się za alpinistów. Iść normalnie? To samo taternictwo ogłosi nas za ofiary ostatniego rzędu, które nic w normalnym czasie zrobić nie mogą. Toby dopiero był dylemat nie do rozwiązania, gdyby się trzeba było liczyć ze zdaniem, mniej lub więcej oficjalnych znawców!

Szczęśliwie jednak jestem w danej sprawie swym własnym autorytetem. To też choć w zasadzie wyścig z punktu widzenia samego wyczynu dla mnie nie istnieje — wartość bowiem przedstawia samo przejście, a nie czas w jakim się je uskuteczniło, temwięcej, że alpejskie warunki przejścia zmieniają się nietylko z dnia na dzień, ale nieraz z godziny na godzinę — nie widzę przecież dla jakiego powodu ktoś go ma sobie odmówić, jeśli mu to sprawia przyjemność. A mnie sprawiało, bo można było połączyć przyjemne z pożytecznem. Mianowicie jedyną możność przyśpieszenia tempa marszu mogło dać zmniejszenie ilości rąbanych stopni. To też przestaję zupełnie rąbać je na prawą nogę, powierzając się całkowicie rakom w chwili przeniesienia lewej; jednocześnie trawersuję łukiem wprawo pod skałki, gdzie widoczne stąd pólka śnieżne dają nadzieję jeszcze większego zmniejszenia wybijanych stopni. Wreszcie rodzaj przełączki, utworzonej między ostatnią skałką a zerwą. Wiatr dmie tu wściekle. Odległość między nami i Austrjakami wprawdzie utrzymana, aleśmy nic nie wygrali: są o jakieś pół godziny drogi od nas. Ruszamy dalej. Atakujemy pierwszego sérac'a zerwy. Lód twardy jak szkło. Na pierwszy stopień tracę z 5 minut czasu, to też od tej chwili drugiego już wcale nie rąbię. Powierzamy się całkowicie rakom. Napotykane miejscami pólka śniegu ułatwiają drogę. Posuwamy się w tempie niesłychanie szybkiem. Gdzieniegdzie tylko rąbiemy duże stopnie dla odpoczynku, gdy ból w kostkach wskutek naprężenia, staje się nie do wytrzymania.

Zatrzymujemy się na kilka minut w połowie zerwy. Wygląda niesamowicie. Upiorne sylwetki sérac'ów o ogromnych, lecących w dół ścianach, robią nadzwyczajne wrażenie. Słońce już dawno za granią, to też dziwne zimno bije z tej gmatwaniny.

Pożeramy przestrzeń. Jakaś ścianka, na której zostawiamy dwa maleńkie zacięcia, jakaś półka lodowa pod załupą, na dłoń szeroka, na kilka metrów długa. W niej jeden jedyny stopień zaznaczył nasze przejście. Na szerokiej jak ściana grani Maudit wykorzystujemy ostatnie promienie ginącego słońca, na piętnastominutowy odpoczynek. Jeszcze 45 minut zupełnie już łatwej drogi i wreszcie Mont Blanc.

Już w kilkanaście minut później wichura nas spędza. O 7-ej gotujemy kolację w Vallot. O g. 8 m. 20 przychodzą Austrjacy. Z głębokiego już snu wyrywa nas o 1-szej w nocy nadejście partji francusko-włoskiej.

Rano jakby bór wyrósł na Mont Blanc: to strzelcy alpejscy zwiedzający szczyt, oraz liczne rzesze turystów. Rozmawiamy z naszymi kolegami z Brenvy. Dowiadujemy się, że na tej półce gdzieśmy jeden tylko stopień zostawili, teraz jest ich już wiele, a pozatem przybyło jej kilka haków lodowych. Nadchodzi z dołu kilka nowych partyj. Cała przestrzeń zalana słońcem, robi się gorąco.

Lecimy w dół. «Route Nationale» jest tak wygodna. Jesteśmy na Jonction. Nagle... próżnia podemną. Rzucam się wprzód, przewijam i lecę głową w dół. Lekkie uderzenie w ramię, uderzenie czekanem w locie o lód, by go zaczepić. Czy długo jeszcze będzie to trwało? Czy Staszek zauważył? Dobry kawał: po Brenvie... na Jonction! Drugie uderzenie czekanem w lód. Ach — dość już tego. Ależ nie, jak długo w powietrzu, tak długo może udać się zaczepić. Uderzenie, ciemno, ucisk, coś się na mnie wali i przygniata mię...

Jestem już uwiązany na linie asekuracyjnej. Jak się to stało? Szedłem tuż za Staszkiem, nie związany z nim w chwili wypadku. Wprost jego śladem. Część mostu, widocznie nadwerężona jego przejściem, mnie już nie utrzymała. Spadłem około 8 m na drugi most wewnątrz szczeliny, który na moje szczęście był dość mocny by mię utrzymać, a na tyle miękki, by zamortyzować siłę mego upadku. Staszek po chwili zauważył moje nagłe zniknięcie, zawrócił i rzucił linę. Teraz ma mi rzucić drugą do wyjścia. Korzystam z chwili wolnego czasu i najpierw fotografuję tu swój worek i linę, a potem patrzę w dalszą głąb szczeliny. Kilkanaście metrów jeszcze prosto, a potem zagina się. Most na którym stoję jest dla mnie w tej chwili czemś bardzo cennem.

Kolejka linowa. Zielony las płynie w górę. Cisza, skwar słońca i spokój. Gorączka zdobywcza zwraca myśli w kierunku przyszłych problemów, przyćmiewa szybko obraz tego przepięknego przejścia. Jerzy Golcz

O drodze ramieniem Brenva na Mont Blanc pisaliśmy już w «Taterniku» dwukrotnie (str. 9, oraz 33 rocznika 1933). Tu chcemy więc dodać tylko to jeszcze, że — jak pisze *Guide Vallot* — «les alpinistes qui l'ont entreprise jusqu'ici étaient presque tous des glaciairistes éprouvés», mimo czego — wystawiona na niebezpieczeństwo lawin — pochłonęła już kilka ofiar. Do roku 1926 zwiedzona była zaledwie 20 razy, w 1927 r. 8 razy, współcześnie zwiedza ją każdego sezonu kilka partyj. Aczkolwiek — zdaniem Golcza — pozbawiona większych trudności (oczywiście tylko dla wprawnego alpinisty) bywa Grań Brenva porównywana czasem nawet z Granią Péteret, i to niezawsze na korzyść sławniejszej rywalki; a przejście jej notuje się

po dziś dzień w wydawnictwach alpinistycznych. Jakim zaś cieszy się mirem nawet wśród najnowocześniejszych i najbardziej sprawnych alpinistów, o tem najlepiej świadczy opinja T. Grahama Browna w najnowszym (z listopada 1933 r.) nrze *Alpine Journal*, nazywająca ją: «one of the finest ice climbs of the Alps. The route is great even when every factor of the time and condition is in favour of the climber. When the margin of available time compels every minute to be calculated, the ascent becomes one of the most interesting problems the Alps can provide». Wreszcie chcemy wzmiankować, że wymienioną we wspomnieniu Golcza, partję austrjacką na Brenva tworzyli alpiniści Franciszek Albinger i dr. Hans Thaler, a partję francusko-włoską znani alpiniści Lucien Devies i Piero Zanetti oraz Livia Bertolini-Magni i Ugo de Vallepiana. Pani Bertolini-Magni opisała następnie swą wycieczkę w *Rivista Mensile del CAI* z września 1933 r. («Al Monte Bianco dalla Brenva»), parokrotnie wspominając o *due alpinisti polacchi.* (RED.)

O POPRAWĘ PODSTAW NOWOCZESNEGO TATERNICTWA

Jeśli rzucimy okiem na dzieje taternictwa polskiego ostatnich paru lat, uderzy nas zastraszająco wielka ilość śmiertelnych wypadków. Oto suche cyfry i daty:

R. 1927 — Szczuka; r. 1928 — Leporowski, Krókowska, Honowska; r. 1929 — Świerz, Skotnicówna M., Skotnicówna L., Krzyszkowski; r. 1930 — Kupczyk, Gieysztor; r. 1932 — Bośniacki, Marcinowski; r. 1933 —Birkenmajer, Stanisławski, Wojnar. W ciągu 7 lat 15 wypadków śmiertelnych! Rocznie 2—3 ofiary porywa nieubłagana śmierć z naszego grona!

Dwie okoliczności zwracają przytem uwagę:

1) W liście ofiar spotykamy 2/3 nazwisk ludzi, należących bezsprzecznie do elity taternickiej, ludzi zdawałoby się bogatych w doświadczenie górskie i technikę wspinacką;

2) W przygniatającej liczbie wypadków mamy do czynienia z katastrofami na drogach, które dla ofiar nie stanowiły poważniejszych trudności, — inaczej mówiąc, nasza elita zreguły niemal ginie na «łatwych» drogach. Przecież n. p. ani Zamarła dla Szczuki, ani Ostry dla Krókowskiej, Honowskiej i Kupczyka, ani Kościółek dla Stanisławskiego i Wojnara nie przedstawiały poważniejszych trudności.

Mówi się dla usprawiedliwienia, że taternictwo jest jednym z najniebezpieczniejszych sportów. Mojem zdaniem i to nie tłumaczy jednak owego przerażającego wprost plonu śmierci w szeregach taternickich. Sądzę, że ostatni sezon, który osiągnął swego rodzaju tragiczny rekord pod względem jakości ofiar, zmusza nas do zastanowienia się głębszego nad przyczynami tego spustoszenia wśród młodych, dzielnych, i nam drogich, a społeczeństwu wartościowych jednostek.

Przyczyny tej formalnej klęski upatruję w brakach naszego taternictwa trojakiej natury: moralnej, sportowej i technicznej.

BRAKI NATURY MORALNEJ

Te są najgłębsze. One powodują inne, one są, według mnie, właściwą przyczyną nadmiernej ilości ofiar, i to właśnie w szeregach elity.

Przedewszystkiem stwierdzam u nowoczesnych taterników brak b o j a ź n i g ó r. Nie tej bojaźni małodusznej, co to przy lada trudności czy niebezpieczeństwie skłania do tchórzliwego odwrotu, lecz tej bojaźni, która przy

całej tężyźnie ducha i ciała i werwie zdobywczej, powinna nieustannie przypominać taternikowi, że w czasie wspinaczki czyha nań szereg niebezpieczeństw, mających przyczyny zarówno w nim samym jak i w otaczającej przyrodzie, i że najdrobniejsze ich przeoczenie, i zaniechanie odpowiednich środków ostrożności, może spowodować nieuchronną katastrofę. Taka bojaźń gór nie będzie momentem denerwującym i obezwładniającym, lecz wręcz przeciwnie zaostrzającym uwagę i podnoszącym sprawność, a tem samem zwiększającym szanse bezpieczeństwa i powodzenia, podobnie jak to jest przy fechtunku czy boksie, gdzie sportowiec w każdym momencie oczekuje ciosu i w każdym momencie może go sparować.

Tymczasem nowoczesny taternik nie boi się gór. Jak każde zjawisko, tak i to ma niewątpliwie swą przyczynę. W danym wypadku jest nią zbyt wcześnie i w zbyt szybkiem tempie idące zapoznawanie się z poważnemi trudnościami gór. «Początkujący» taternik zaczyna często swą karjerę od — Zamarłej Turni (pd. ścianą) lub jej odpowiednika i — idzie dalej. Niema on w swej praktyce całej skali trudności i niebezpieczeństw, pokonywanych stopniowo od mniejszych do większych. Uzyskuje (tego nie przeczę) może szybciej wysoką sprawność wspinacką, porusza się swobodnie na «ausserach», ale też za swobodnie na wszelkich łatwiejszych... wskutek braku bojaźni gór, wskutek ich lekceważenia.

Inny brak natury moralnej taternictwa, to nadmiernie wybujała ambicja i chęć ustawicznego podbijania i pobijania rekordów. Oczywiście, że bez dążności do ustawicznego podwyższania rekordów nie byłby możliwy rozwój żadnego sportu. W taternictwie naszem jednak ta przyczyna, ponieważ się wiąże z poprzednio omówioną, staje się wprost zgubną. Zresztą trzeba sobie to przecież raz uprzytomnić, że pod względem możności podwyższania i pobijania rekordów istnieje poważna różnica między nowoczesnem taternictwem a, dajmy na to, lotnictwem czy automobilizmem. Podczas gdy w taternictwie jesteśmy już najprawdopodobniej blisko kresu, o ile już nie u kresu, sprawności ludzkiej — to w tamtych sportach jesteśmy jeszcze napewno bardzo od niego odlegli! Uważam więc za niezgodne z duchem taternictwa w poważnym stylu, uporczywe dążenie za wszelką cenę do dalszego wynajdywania najrozmaitszych «możliwości rozwoju» w guście «pionowych trawników», «kruchych skał», «ausserów w zimie» itp.

Uporczywe wmawianie w siebie i drugich, że tylko chodzenie po «problemach», latem czy zimą, może dać t. zw. pełnię rozkoszy taternickich, zaczyna być doprawdy manjactwem, wypływającem z przerostu ambicji sportowej i mogącem sprowadzić taternictwo na zupełne manowce... Tej samej natury zjawiskiem określam wszelkie «wyścigi» taternickie, polegające na robieniu po kilka ścian (do tego często jeszcze problemów) w ciągu jednego dnia! Wytrzymałość cielesna i duchowa nawet u najsprawniejszego taternika jest przecież też ograniczona. Zmęczenie zaś powoduje osłabienie wszelkich władz fizycznych i psychicznych, a więc i zdolności oceniania niebezpieczeństwa. I jakże się tu dziwić potem że «taki znakomity i tak ostrożnie zwykle chodzący... itd.» odpadł od nietrudnej zgoła ściany.

To drugie zło moralne taternictwa, t. j. przerost ambicyj pseudo-sportowych i chorobliwa wprost żądza pobicia cudzego «rekordu» ma do pewnego stopnia przyczynę w nieznośnem a ostatniemi czasami niesłychanie rozwielmożnionem reklamiarstwie dziennikarskiem. Sprawozdania o jakiemś wejściu podaje się do wiadomości publicznej — telegramami od specjalnych korespondentów, jakby jakieś wieści z decydującego placu boju czy — konferencji rozbrojeniowej. Pytam, jaki w tem sens i cel? Co t. zw. szeroką publikę

obchodzi, że p. X. wszedł na tę czy inną ścianę, o tej czy innej porze roku, skoro owa szeroka publika poprostu najzupełniej się na tem nie rozumie, nie wyobraża sobie trudności i nie zdaje sobie sprawy z wysiłków! Sukcesy, klęski i polemiki (!) taternickie powinny ograniczyć się do prasy — taternickiej.

Niemałem niebezpieczeństwem dla całego rozwoju najnowszego taternictwa jest też, zdaniem mojem, zupełnie *bezkrytyczne apoteozowanie* czynów i ideologji ofiar i to właśnie ze strony czynników «oficjalnych» taternictwa, od których należałoby się spodziewać krytycznego rzutu oka na wypadek i głębokie nieraz przyczyny jakie go spowodowały. Tymczasem cóż widzimy? Nawet w wypadkach najjaskrawszego pogwałcenia zasad sportu wysokogórskiego, z ust oficjalnych słyszymy tylko — peany pochwalne. A tymczasem dla dobra taternictwa, jego racjonalnej linji rozwoju i dla dobra młodej generacji taternickiej, należałoby nieraz zgoła inaczej odnieść się do tego czy innego wypadku (nie ofiary!).

Niemałem złem moralnem, typowem dla nowoczesnego taternictwa, jest *małe poczucie koleżeństwa*. «Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego» powinno być hasłem grupy taterników, wybierających się na poważniejszą wyprawę. Niestety, widzieliśmy często, że tak nie jest!

BRAKI NATUTY SPORTOWEJ

Brak bojaźni gór i przerost ambicyj sportowych, rozbudzonych do tego często lekkomyślnie przez starszych, wiedzie nieuchronnie *do porywania się* młodych adeptów taternictwa *na przedsięwzięcia przerastające* często wielokrotnie *ich siły*. Temu przypisać należy to jedyne, a nie widziane chyba w całym świecie nietylko taternickim ale i alpinistycznym, porwanie się dwu nieletnich dziewcząt na jedną z najgroźniejszych ścian tatrzańskich...

Lekceważenie niebezpieczeństw gór i przesadna ufność w swe siły wiążą nieraz *na jednej linie taternika z zupełnym «ceprem»*, wyciąganym potem jak worek mąki, właśnie rzekomo dla wykazania wysokiej sprawności taternika. Tego rodzaju wyczyny nie mają nic wspólnego z taternictwem i mogą być podejmowane chyba tylko przez zawodowego przewodnika, któremu zależy na dodatku od «aussera».

Zabieranie mniej wprawnych towarzyszy na wyprawy najwyższej skali trudności jest dopuszczalne tylko wówczas, gdy adeptowi towarzyszy dwu a nie jeden dobry taternik. Wtedy obaj wprawni idą przodem jako pewna jednostka asekuracyjna, a adept na trzeciego, na końcu. Z tego względu za poważny grzech nietylko już w taternickiem, ale zgoła zwykłem znaczeniu uważam chodzenie na «aussery» — parami w towarzystwie kobiet (zwłaszcza, jak to często bywa, młodych panienek). Nie wiem jak sobie taki «taternik», idący z panienką, wyobraża asekurację jego przez nieletnią często towarzyszkę!

Albo *wspinanie się samotne*? Czyż najlepszy nawet wspinacz nie ma w swej karjerze bodaj jednego odpadnięcia, które zakończyło się szczęśliwie tylko dzięki dobrej asekuracji? U samotnika zaś najbardziej błahy wypadek, który przy ubezpieczeniu zakończyłby się w najgorszym razie lekkiem potłuczeniem — musi mieć śmiertelny koniec. Stąd pionierzy samotnictwa w Alpach i u nas skończyli przedwczesną śmiercią! Twierdzę, że samotne uprawianie taternictwa równa się samobójstwu.

Niewiele od niego odbiega wybieranie się na ciężkie wyprawy, zwłaszcza zimowe, *bez żadnego treningu*, lub co gorsza przy widocznie *złym stanie zdrowia*. Taternik powinien mieć na tyle siły charakteru, by cofnąć się, gdy widzi lub czuje, że jemu, lub jego towarzyszowi nie staje

sił do przeprowadzenia wielkiego przedsięwzięcia. Czasem większem bohaterstwem będzie odwrót, niż pchanie się na upór i na pewną zgubę.

O wybijaniu haków, jako o typowo niesportowym objawie wśród młodych taterników, nie chcę nawet wspominać. Dosyć o tym przykrym temacie napisano.

BRAKI NATURY TECHNICZNEJ

Do najczęstszych grzechów z tego zakresu należy chodzenie ze staremi linami, używanie starych pętli, brak niezbędnych sprzętów taternickich (młotków, haków, karabinków, zapasowych lin). Tłumaczenie się złym stanem finansowym, zwłaszcza u młodych taterników, nie może być żadną miarą usprawiedliwieniem. Jeśli ktoś niema środków pieniężnych na uprawianie danego sportu, niech się zwróci po nie do odnośnych klubów — względnie niech da sobie spokój z zadrogim dla niego sportem, a niech przez partactwo nie naraża cennego życia.

Złe używanie sprzętu taternickiego jest często stokroć gorsze niż nieużywanie go wcale. Wiązanie się liną bez równoczesnego (a dobrego) użycia haków — jest, jak niestety wiadomo, bardziej śmiercionośne niż brak jakiejkolwiek asekuracji. Śmiertelne pary ofiar na Ostrym, Zamarłej i Zmarzłej Przełęczy są tego aż nazbyt smutnym dowodem.

Niedostateczne odżywianie się w czasie wypraw (nawet alpejskich!) jest też jednym z dziwnych objawów lekceważenia gór i podstawowych zasad higjeny taternickiej.

Oto parę smutnych i przykrych refleksyj, jakie mi się same nasuwają przy rozważaniu wszystkich śmiertelnych wypadków jakie dotknęły naszą szczupłą gromadę. Nie chcę być źle zrozumianym! Nie twierdzę bynajmniej, jakoby całe nasze nowoczesne taternictwo weszło na jakieś manowce! Widzę w niem tylko przytoczone błędy i usterki, których, jak stwierdzamy, nie można lekceważyć ani — rozgrzeszać, lecz po męsku wydobyć na światło dzienne, przedyskutować i dołożyć starań aby jak najrychlej zniknęły. Daleki jestem dalej od robienia komukolwiek wyrzutów, które byłyby — po niewczasie. Daleki też jestem od zamiaru rzucania najmniejszego nawet cienia na naszych Zmarłych Przyjaciół, których jasne postacie pozostaną na zawsze w historji taternictwa. Nie o pomniejszenie ich zasług i chwały, lecz o dobro żywych mi chodzi, o poprawę moralnych, sportowych i technicznych zasad tego najpiękniejszego ze sportów, wreszcie o to, by opinja zaniepokojonego społeczeństwa nie potępiła nas, tym razem słusznie, jako straceńców, a co gorsza jako niesumiennych partaczy sportowych.

Marjan Sokołowski

TEMATY ZIMOWE

PRZYWILEJ ELITY

Pomówmy o zimie taternickiej. Podobnie jak o wielkim alpinizmie w tonie nieomal entuzjastycznym. Przecież dziś każdy z taterników, nabłądziwszy już dostatecznie w ślepej uliczce taternictwa letniego — uważa za właściwe trafiać do zimy, i dostrzegać w niej drugi, obok ucieczki zagranicę, ratunek tegoż taternictwa. Mnie w moim entuzjaźmie ochładza jeden ważny szczegół: ilu ludzi uprawia dziś twórcze taternictwo zimowe? Kilku. Dosłownie: kilku. Cała nadzieja w tem, że w ślad za niewątpliwym rozwojem jakości przyjdzie chyba i rozwój ilościowy. Trafnie przytem zauważono, że

doping popularności sportowej jest dziś w zakresie zimy taternickiej specjalnie silny.

Pomówmy zatem o zimie taternickiej. Co ona oznacza dla taternika? «Nieporównana dzikość a zarazem majestatyczność przyrody zimowej na wielkiej skalnej partji tatrzańskiej daje wrażenie niezapomniane... Nasze kochane Tatry, tak słodkie i prawie przytulne w lecie, ukazały nam inne, groźne oblicze...» określił sytuację najzwięźlej K. Piotrowski w «Taterniku» z 1925 r., str. 3. Wiadomo, że wyprawy zimowe najbardziej zbliżają taternika do typu wypraw alpinistycznych. Pod każdym względem są zresztą każde góry zimą większe i wspanialsze. Nieomal pod każdym względem stawiają turyście większe niż latem wymagania. Rozrastanie się taternictwa zimowego świadczy zatem o dojrzałości polskiego sportu górskiego.

Przytem — wyprawy zimowe są pełne najwyższego u r o k u, polegającego na wszechstronnem zwiększeniu wrażeń, w stosunku do tych, jakich doznać można latem. Elementy wrażeń wzrokowych, wrażeń klimatycznych, wrażeń sportowych — narastają, urozmaicają się, i subtelnieją. Obok tego wreszcie — w głównej mierze — działa owo wyrównanie szans, o którem tak słusznie mówił dr. Piotrowski (por. «Taternika» z 1933 r., str. 69), owa równa gra z objektywnemi niebezpieczeństwami gór. Mróz, kurniawa, lawiny, trudności biwaków — dla taternika rasowego będą one zawsze najsilniejszą podnietą do próby sił. Niebezpieczeństwa te odbudowują — naogół już w lecie zatraconą — świadomość grozy i potęgi Tatr, a bez poczucia wielkości gór niema przecież nigdy pełnego zadowolenia z trudu, włożonego w ich sportowe zwiedzanie.

SCHOLASTYKA KLIMATYCZNA

Co to jest jednak z i m a t a t r z a ń s k a? Taternicy odpowiadają krótko: okres czasu od 1 grudnia do 30 kwietnia. Kropka, koniec. Otóż jest rzeczą dosyć dziwną, że to czysto mechaniczne ujęcie zagadnienia, w taternictwie zimowem jednego z najważniejszych, nie wywołało dotychczas żadnej wymiany zdań. W alpinizmie, pytanie co należy rozumieć pod pojęciem w y p r a w a z i m o w a było już niejednokrotnie dyskutowane. W tej chwili dysponujemy nawet wynikami A n k i e t y w s p r a w i e p i e r w s z y c h w e j ś ć z i m o w y c h (*La Montagne* z 1929 r., str. 121—122), którą wśród różnych klubów alpinistycznych rozpisał znany teoretyk alpinizmu zimowego, Marcel Kurz. Okazało się, że odpowiedzi były b. różne. Ak. Alpen-Club w Zurychu przyjął za okres zimowy czas od 1 listopada do 1 kwietnia, Ak. Alpen-Club w Bernie czas od listopada do kwietnia, Ak. Alpen-Verein w Berlinie czas od 1 listopada do 30 kwietnia, wreszcie Ak. Alpen-Verein w Monachjum czas od 1 grudnia do 30 kwietnia (czyli zgodnie z praktyką, stosowaną zwyczajowo w Tatrach). Sam Kurz zaproponował uznawać jako wejścia zimowe: a) każde wejście wykonane pomiędzy 23 grudnia a 23 marca, oraz b) w jakimkolwiek czasie robione wejście narciarskie. Ankieta Kurza nie doprowadziła do wyników praktycznych. Nie będę się starał o inny rezultat i moich poniższych uwag.

Wiemy na czem polega sens wypraw zimowych: na możliwie najwszechstronniejszem, lecz i możliwie wyłącznem, wyzyskiwaniu elementów najistotniej zimowych, czyli poprostu klimatycznych rezultatów mrozu we wszelkich postaciach (śnieg, lód). A więc będzie wartościową wyprawą zimową np. styczniowe wejście na Zadni Gierlach z Doliny Kaczej, a nie będzie nią np. marcowe wejście w trzewiczkach na Żabiego Konia. To jasne. Rzecz jednak w tem, że mróz w Tatrach jest zjawiskiem coraz kapryśniejszem i coraz mniej obliczalnem. Bywa czasem w czerwcu i we wrześniu, a brak

go czasem w grudniu i w styczniu. Wystarczy zacytować taki podwójny przykład z ostatnich lat: z końcem września 1931 r. jeździło się sankami po Krupówkach, a temperatura w Zakopanem w południe wynosiła 4° C poniżej zera, zato w okresie świąt Bożego Narodzenia 1932 r. panowały warunki normalne dla października, skały były niemal suche, i temperatura powyżej zera. We wrześniu jeździło się na nartach, w grudniu wygrzewało się na słońcu, na suchych choć pożółkłych upłazkach. A przytem tego rodzaju klimatyczne wybryki trafiają się coraz częściej — i ostatnio (1933) nawet do druku przedostały się wiadomości o zimowych wejściach w czerwcu na Kołowy i Lodowy Szczyt (por. *Karpathen-Post* z dnia 17 czerwca 1933 r.). Sprosta rozumując, wzmianki te nie fałszowały nawet rzeczywistości; choć oczywiście dla wyjątków reguł ustalać nie można.

Ale w związku z doświadczeniami klimatycznemi w Tatrach, dziś nieporównanie większemi niż dawniej, sądzę że, jeśli nie całkowicie, to bodaj w przeważającej mierze, dałoby się zaradzić nieporządkom, przez rozbicie dotychczasowego schematu zimowego na trzy okresy:

a) okres od 1 grudnia do 15 stycznia, czyli okres (świąt Bożego Narodzenia) wczesnej zimy;

b) okres od 16 stycznia do 15 marca, czyli okres (pełnej) właściwej zimy;

c) okres od 16 marca do 30 kwietnia, czyli okres (świąt Wielkanocnych) późnej zimy.

Klimatycznie podział ten rysuje się najzupełniej wyraźnie i jasno. Nawet najbardziej spóźniona zima ustala się około połowy stycznia, nawet najwcześniejsza wiosna nie wdziera się do Tatr przed połową marca. Pomiędzy tymi terminami trwa pełna zima tatrzańska, w czasie której dokonane wejścia mają pełną wartość. Natomiast oba sąsiadujące z nią okresy, zimy jesiennej i zimy wiosennej, są już zależne od woli klimatu: mogą być tak ciężkie jak w kwietniu 1933 r., ale i tak lekkie jak w grudniu 1932 r. Rozróżnienie nie odrazu musi mieć skutki praktyczne. Mnie wystarczy narazie wskazanie ich ogółowi taternickiemu.

OSTATNI REKORD

Zresztą, dla rasowego taternika zimowego, jego cel zimowy będzie zawsze prosty: nie uwzględni on ani suchej ściany, ani wygrzanej słońcem grani. Zależnie od warunków będzie taternik zimowy umiał odważyć się na zaatakowanie terenu zazwyczaj niedostępnego (np. spowodu niebezpieczeństwa lawin), lub naodwrót, zrzec się marszu drogą najczęściej łatwą. Będzie też umiał obliczyć szanse pogody, i ustalić aktualny pożytek środków pomocniczych, takich jak narty lub karple. Będzie też wiedział, że na wyprawach zimowych nie wolno się obarczać nowicjuszami, skoro zbyt często bezpośrednie bezpieczeństwo zimowej wspinaczki jest mrzonką, a pewność asekuracji iluzją. Wyłoni się z tego wniosek, że wyprawy zimowe są domeną doświadczonych. I w istocie zachodzi ten fakt, jako wynik przedewszystkiem nadzwyczajnej zmienności wszelkich warunków, w których się odbywa wycieczkę zimową, a co pociąga za sobą konieczność dobrego władania całokształtem działań wysokogórskich. Może dlatego, taternictwo zimowe jest przywilejem ludzi sportowo starszych, mających już poza sobą okres młodzieńczej, ambitnej, jednostronnej zdobywczości. Nie żąda bowiem taternictwo zimowe ani rekordowej umiejętności gimnastycznej, ani błyskotliwej sprawności tempa — natomiast bezwarunkowo wymaga przygotowania psychicznego i maksymalnego wyrobienia odporności i silnej woli, co jest udziałem i wynikiem długiej pracy.

Ale to jest dopiero jeden typ taternictwa zimowego, który nazwałbym

integralnem taternictwem zimowem. Znajduje on swój wyraźny odpowiednik w alpinizmie zimowym, i jest, jak już zaznaczyłem, podporządkowaniem terenu warunkom klimatycznym. W ostatnich (dosłownie) latach zaznaczył się jednak i drugi typ taternickich wypraw zimowych, którebym określił jako taternictwo letnie uprawiane zimą. Jako przykład tego rodzaju taternictwa, wymieniłbym zimowe przejście pn. ściany Jaworowego Szczytu, oraz dolnych urwisk wsch. ściany Ganku i pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu. Wyprawy te stały się ważnem posunięciem w dziejach taternictwa: rozwiązały bowiem problemy, jakich w Tatrach dotychczas realnie rozwiązać nie próbowano. Nie były jednak czystem taternictwem zimowem, ponieważ teren, który pokonywały, nie miał naogół specjalnie zimowych wartości. Możnaby zgoła powiedzieć, że właściwego taternictwa zimowego wyprawy te niemal w niczem nie wzbogaciły. A jednak znaczenie ich jest niezmierne i sądzę, że w ich właśnie typie znajdzie swój wyraz ostatnia wielka epoka taternictwa odkrywczego — przed którą, jak sądzę, właśnie stoimy. Wyprawy te, jak żadne inne, mogą bowiem taternika zbliżyć do wielkich zadań alpinistycznych, dać mu poczucie i rzeczywistość wielkości Tatr. Bo czyż np. wsch. ściany Ganku (ok. 800 m wys.) nie można w warunkach zimowych uważać za rodzimy odpowiednik np. połowy pn. ściany Grandes Jorasses (ok. 1500 m wys.) w jej warunkach normalnych? Tamto wielkie urwisko alpejskie posiada głębokie żleby i potężne filary; ale tak samo ma je ściana tatrzańska. W najbardziej nawet korzystnych warunkach zerwy Jorasses są olodzone, zawalone śniegiem i t. d.; ale i w tej dziedzinie urwisko Ganku solidną zimą uzyskuje wyrównanie. Owszem, są dwie niezmiernie ważne różnice: że ściana alpejska jest jednak dwukrotnie większa, i że wzbija się ku wys. 4200 m zamiast 2400 m. Tych różnic wyrównać się nie da — i dlatego, wiemy, Tatry równorzędnym rywalem Alp nigdy stać się nie mogą. Jest jednak faktem, że na wymienionym przykładzie owo podwyższanie trudności Tatr i zbliżanie ich do typu gór wielkich — ten najbardziej istotny cel rekordu taternickiego — zyskuje swój najdalszy, ostateczny wyraz. Wydaje mi się też, że ewolucja taternictwa zmierza wyraźnie ku ogólnemu szturmowi na letnie urwiska zimą, — podobnie jak latem ku podbojowi pozostałych dziewiczych fragmentów skalnych, choćby kosztem najzmyślniejszych sztuczek technicznych.

PUNKT NAJBARDZIEJ DRAŻLIWY

Nie zawaham się nakoniec pomówić o jeszcze jednej żywotnej sprawie taternictwa zimowego, a mianowicie o jego stosunku i związkach z narciarstwem. Jest to rzecz mocno nieprzyjemna, ale nie mogę nie powiedzieć wyraźnie: to właśnie narciarstwo stanowi główną przyczynę ilościowej nikłości taternictwa zimowego, to właśnie narciarstwo na wszelki sposób — choć niechcący — hamuje jego rozszerzalność wszerz i jego naturalny rozwój. Narciarstwo jest największym wrogiem taternictwa zimowego, a to właśnie dlatego, że tak wielu taterników dzisiejszych na całą zimę zaciąga w swoje szeregi i to nawet nie tylko zawodnicze, ale również czysto turystyczne. Iluż taterników, zamiast odbywać groźne i odkrywcze wyprawy zimowe, woli po sto razy «szusować» z Kasprowego Wierchu! Gdyż fałszywy jest naogół — często dawniej wysuwany — argument, że przyczyną istnienia tak szczupłej garstki taterników zimowych są trudności ekonomiczne, o wiele jakoby gorsze do zwalczenia zimą niż latem. Jest to omyłka, skoro taterników pełno zimą w Tatrach. Tylko, że ani rusz nie chcą oni w tym okresie uprawiać taternictwa.

Trudno się oprzeć urokowi nart: jest to urok o wyjątkowem nasileniu. Rozumiemy też urok odznak, srebrnych i złotych, temwięcej: urok zwycięstwa na zawodach. Ale to rozumienie w niczem nie zmienia poprzednio stwierdzonych faktów. Przytem — to również trzeba powiedzieć otwarcie — nawet gdy się w najlepszej wierze chce narciarstwo podporządkować celom taternickim, nie wynika z tego dla taternictwa nic dobrego. Narty przy systemie taternickiego zwiedzania gór (wejście i zejście inną drogą, często do innej doliny) stają się zawadą nawet przy ewent. tylko podejściach z ich pomocą pod ścianę; wszakże trzeba po nie potem urządzać osobne ekspedycje! W dodatku są często nawet do uzyskania szybkiego czasu podejść nieprzydatne. Tak przedewszystkiem w kwietniu, gdy się śnieg już ustalił, zespolił z podłożem i stwardniał na tyle, że doskonale utrzymuje ciężar ludzki na powierzchni, umożliwiając marsz szybszy nawet niż w lecie; tak również w grudniu, gdy śniegu jest jeszcze zazwyczaj dość mało. Oceniam w całej pełni sens, logikę i piękno wielkich karpackich podróży narciarskich (w Tatrach wycieczki narciarskie stawiałbym oczywiście na dalszym planie), ale — jeszcze raz — co innego narciarstwo, co innego taternictwo. Dość sceptycznie jestem usposobiony nawet w kwestji owych krótkich, jednometrowych n a r t t a t e r n i c k i c h, którym przypisuje się zgoła rewelacyjne znaczenie (por. «Taternika» z 1932 r., str. 8). Wymyślone z wytrwałego poszukiwania uniwersalnego środka przeciw, każdego taternika zimowego dręczącym, kłopotom narciarskim — czyż nie są rozwiązywaniem kwadratury koła? Są podobno łatwo przenośne, i łatwonośne w skale; ale ja chętnie oddam innym przyjemność ciężkiej wspinaczki (np. w olodzonym kominie) z obciążeniem dwoma szerokiemi płozami, sterczącemi stylu niby skrzydła husarskie.

Wreszcie, ostatnio, narciarze, niezadowoleni z wyłącznego kultu boiskowości wśród swoich adeptów — wzięli się ostro do propagowania narciarstwa turystycznego (por. «Taternika» z 1933 r., str. 22). To jeszcze gorzej dla taternictwa! Jedyną — napiszę szczerze, co sądzę — drogę poprawy istniejącego stanu rzeczy widzę we wciąż wzrastającym rozgłosie sukcesów taternictwa zimowego. On jeden może znów przywrócić, oddawna już na rzecz narciarstwa naruszoną, równowagę (ongiś, nie trzeba zapominać, równowaga ta była naruszona na rzecz taternictwa: wówczas Sekcje Narciarskie chlubiły się takiemi zdobyczami jak zimowem wejściem na Zadni Kościelec lub na Zadniego Mnicha).

SPODZIEWANY WNIOSEK OGÓLNY

Kto nie zna Tatr zimowych — nie zna Tatr.

J. A. Szczepański

O CHOROBIE GÓRSKIEJ

Już oddawna znane są charakterystyczne dolegliwości, pojawiające się u ludzi zupełnie zdrowych, którzy w przeciągu krótkiego czasu wychodzą z miejsc położonych w nizinach na znaczniejsze wysokości. Spośród dawniejszych opisów tego zjawiska na uwagę zasługuje głównie opis Saussure'a, który też pierwszy podaje jego naukowe wytłumaczenie. Późniejsze badania i opisy wykazały, że choroba ta, określona obecnie nazwą choroby górskiej, może występować na różnych wysokościach w rozmaitych grupach górskich. Tak np. w Alpach i na Kaukazie pojawia się już na wysokości 3.000 m, w Andach ok. 4.000 m, w Himalajach ok. 5.000 m. Pozostaje to prawdopodobnie w związku z aklimatyzacją, która w górach egzotycznych łatwiej następuje, dzięki temu, że wznoszenie się trwa tam powoli, naskutek trudniejszych warunków komunikacyjnych. Natomiast w górach bardziej

udostępnionych, gdzie na poziom 3.000—4.000 m można wznieść się łatwo z okolic nizinnych w ciągu jednej doby, objawy choroby górskiej mogą występować naogół wcześniej.

Każdy taternik, który odbył chociażby jedną szczytową wycieczkę w Alpach i znalazł się na wysokości około 4.000 m, mógł zauważyć u siebie objawy, których nie można porównać i określić nazwą zwykłego znużenia, tak dobrze każdemu znanego z wycieczek po Tatrach. Zwyczajne tatrzańskie znużenie jest to uczucie, które występuje, przy pokonywaniu stromych i wyniosłych zboczy w tempie zbyt szybkiem i przy większem obciążeniu, już zazwyczaj w pierwszych godzinach marszu. Nasilenie objawów znużenia, jak osłabnięcie mięśni, duszność lekkiego stopnia i apatja, zależne jest od stopnia treningu i od warunków zewnętrznych jak upał, nasycenie powietrza parą wodną itd., które to okoliczności potęgują znużenie. W korzystnych warunkach znużenie nawet dość silne, wywołane niewłaściwem tempem, ustępuje zwykle po kilku lub kilkunastominutowym wypoczynku, poczem przychodzi okres powrotu sił i dobrego samopoczucia, które na grani pod orzeźwiającym wpływem wiatru i otoczenia wzmaga się jeszcze i nie opuszcza już zwykle taternika do końca dnia. Weźmy dla przykładu drogę na Gierlach granią od Polskiego Grzebienia z wyjściem z Roztoki. W czasie tej wycieczki znużenie odczuwa się przy pokonywaniu progów Doliny Świstowej. Natomiast najprzyjemniejszym odcinkiem drogi jest jej część od Litworowego Szczytu do szczytu Gierlachu, pomimo tego, że różnica wzniesień jest jeszcze dość duża, a tempo marszu jest zazwyczaj stosunkowo szybkie dzięki niezbyt dużym trudnościom technicznym.

W Alpach sprawa znużenia ma się inaczej. W wycieczkach alpejskich musimy bowiem wyróżnić dwie części. Najpierw mamy dojście do wyżej położonego schroniska na wysokości 3.000—3.500 m z punktu położonego niżej o 1.000—1.500 m, np. ze stacji kolejowej. Ta część wycieczki, na którą poświęcić się musi jeden dzień, jest zwykle typowym mozołem górskim, przypominającym niektóre z naszych tatrzańskich szlaków. Właściwa wycieczka odbywa się dopiero następnego dnia. Po wyjściu ze schroniska, z reguły bardzo wczesnem, taternik czuje się zwykle zupełnie dobrze, poza lekkim niepokojem jakiego doznaje przed wyprawą wśród nowych i nieznanych mu dotychczas warunków. Pierwsze godziny są zazwyczaj dość uciążliwe z powodu szybszego niż w Tatrach tempa marszu, które musi być utrzymane ze względu na rozmiary terenu alpejskiego. Po odpowiednim wypoczynku następuje szereg godzin wytężonej pracy wśród dobrego samopoczucia. Po pewnym czasie jednakże, w miarę wznoszenia się, pojawia się uczucie jakby znużenia, połączonego z silniejszem osłabieniem mięśniowem i charakterystycznem obniżeniem wrażliwości psychicznej. Po krótkim wypoczynku objawy te znikają, ale już po przejściu kilkuset kroków powracają i zmuszają do ponownego wypoczynku. Mimoto można powoli posuwać się naprzód przez dłuższy czas i osiągnąć zamierzony cel wycieczki. Opisane dolegliwości są pierwszemi objawami choroby górskiej, a raczej jej zwiastunami. O chorobe tej we właściwem znaczeniu możemy mówić dopiero wtedy, kiedy wystąpią jej dalsze objawy jak nudności, czasem wymioty, osłabienie ogólne i zanik siły woli niekiedy tak znaczny, że nawet grożące niebezpieczeństwo niezawsze może dotkniętego chorobą skłonić do ponownych wysiłków. Zwykle jednak po dłuższym wypoczynku wspomniane dolegliwości cofają się o tyle, że chory może o własnych siłach odbyć drogę powrotną, a nawet w razie dogodnych warunków terenowych osiągnąć zamierzony cel wycieczki.

Ale choroba górska niezawsze ma tak korzystny przebieg. W przypadkach cięższych, obok silnych nudności i wymiotów pojawia się duszność, nieregularny oddech, przyspieszenie tętna, czasem kaszel z wykrztuszaniem krwi, biegunka krwawa i lękka gorączka. W tym stanie niema oczywiście mowy o jakimkolwiek

wysiłku ze strony chorego. Musi on być zniesiony jaknajszybciej w dolinę, gdzie dopiero po kilku dniach, a czasem dopiero po tygodniach, wraca do zdrowia i sił.

W obrazie choroby górskiej niema jednolitego typu, zaznaczają się natomiast wyraźne różnice w skłonności do niej u rozmaitych ludzi, a nawet u tych samych w różnych okresach. Zależnie od właściwości osobniczych pojawiają się w różnem nasileniu rozmaite objawy. U jednych już w początkach występują wymioty, u innych krwawienia z płuc, zwłaszcza przy czynnościach połączonych z podniesieniem ciśnienia w klatce piersiowej jak np. przy głośniejszem wołaniu. Znany jest przypadek opisany przez pewnego Anglika, podróżującego po Andach peruwiańskich, który w obozie na wysokości 4.500 m przy zupełnie dobrem samopoczuciu nie mógł grać na flecie, ponieważ każdorazowa próba wydobycia tonu kończyła się kaszlem i odpluwaniem krwi.

Występowanie choroby górskiej zależne jest do pewnego stopnia od warunków terenowych i atmosferycznych. Stwierdzono np., że w osłoniętych od wiatru żlebach i zagłębieniach terenu, wystawionych zwłaszcza na działanie słońca, występuje ona częściej niż na miejscach otwartych. Zależy to prawdopodobnie od utrudnienia w oddawaniu nadmiaru ciepła przez organizm. Z drugiej strony wiadomem jest, że i oziębienie pod wpływem silniejszego wiatru działa w tych wypadkach też niekorzystnie. Powszechnie znaną jest zależność objawów choroby górskiej od położenia ciała, o tyle, że w położeniu poziomem nasilają się niektóre objawy, a szczególnie duszność. Powodem tego jest zwiększony napływ krwi do płuc w tem położeniu, i dlatego udzielając pomocy dotkniętemu chorobą górską należy dbać o wysokie ułożenie jego górnej części ciała. Odnośnie do przyczyny choroby górskiej jest już obecnie dowiedzionem, że główną rolę odgrywa tu niedobór tlenku naskutek rozrzedzenia powietrza. Powoduje on upośledzenie procesów spalania ciał zapasowych w ustroju, co prowadzi do gromadzenia się w tkankach i w krwi rozmaitych trujących składników, które powodują wreszcie pewnego rodzaju lekkie samozatrucie organizmu. Dawniej próbowano tłumaczyć chorobę górską bądźto szkodliwym wpływem energji promienistej, pochodzącej z ciał promieniotwórczych, stanowiących zawartość skał, bądź też samem zmęczeniem, które w górskich warunkach miało dawać obraz odmienny niż na nizinach. Jednakże fakt, że choroba górska występuje również przy wzlotach balonem albo na wysokopołożonych stacjach kolei górskich, świadczy o tem, że energja promienista nie odgrywa tu żadnej roli, a zmęczenie może mieć znaczenie conajmniej czynnika wyzwalającego. W przypadkach biernego wznoszenia się, choroba górska występuje często w sposób bardzo gwałtowny i groźny. Znane są przypadki śmierci wśród objawów typowej choroby górskiej u podróżujących po Andach, którzy wprost z nizin wyjeżdżali do stacyj, położonych na 4.000—4.500 m.

Należałoby zastanowić się, czy i w jaki sposób można ustrzec się choroby górskiej. Otóż wykluczyć całkowicie możliwość pojawienia się jej choćby w słabej postaci, jest niemożliwem nawet przy prawidłowem i stopniowem dążeniu do aklimatyzacji. Można jednak w dużej mierze ograniczyć prawdopodobieństwo jej wystąpienia, tudzież zmniejszyć jej grozę, przez odpowiedni trening na znaczniejszych wysokościach, przestrzeganie najważniejszych zasad higjeny, jak odpowiedni wypoczynek przed wycieczką, sen, prawidłowe odżywianie z uwzględnieniem głównie cukrów itd. Również nie należy obarczać się nadmiernie ciężkim plecakiem, a w czasie marszu unikać, o ile to możliwe, zagłębień terenu, wystawionych na silne działanie słońca, tudzież miejsc, narażonych na silny wiatr.

W razie wystąpienia choroby górskiej w pełnem nasileniu, należy oczywiście zmienić cały plan wycieczki. W czasie marszu należy chorego odpowiednio ułożyć w możliwie zacisznem i osłoniętem miejscu i pokrzepiać małemi łykami mocnej czarnej kawy. Po sprowadzeniu do schroniska, o ile objawy nie ustępują,

można podać tlen do wdechiwania z przerwami, jeżeli w schronisku znajduje się odpowiedni przyrząd. Zabieg ten przynosi zwykle doraźną, często trwałą ulgę. W przypadkach cięższych należy chorego możliwie rychło znieść w dolinę i oddać opiece lekarskiej.

Nakoniec nasuwa się pytanie, czy choroba górska pozostawia jakieś trwałe uszkodzenia narządów w szczególności serca. Na podstawie dotychczasowych danych z piśmiennictwa można wnosić, że przebycie choroby górskiej u ludzi zdrowych nie powoduje żadnych szkodliwych następstw i nie ogranicza w większej mierze ich możliwości sportowo-wysokogórskich. Konieczną jest jednakże pewna aklimatyzacja na drodze odpowiedniego treningu w początkach każdego sezonu.

Dr. Adam Sokołowski

MATERJAŁY DO HISTORJI TATERNICTWA

XIV. O ZACHODNIEJ ŚCIANIE DURNEGO SZCZYTU [1]

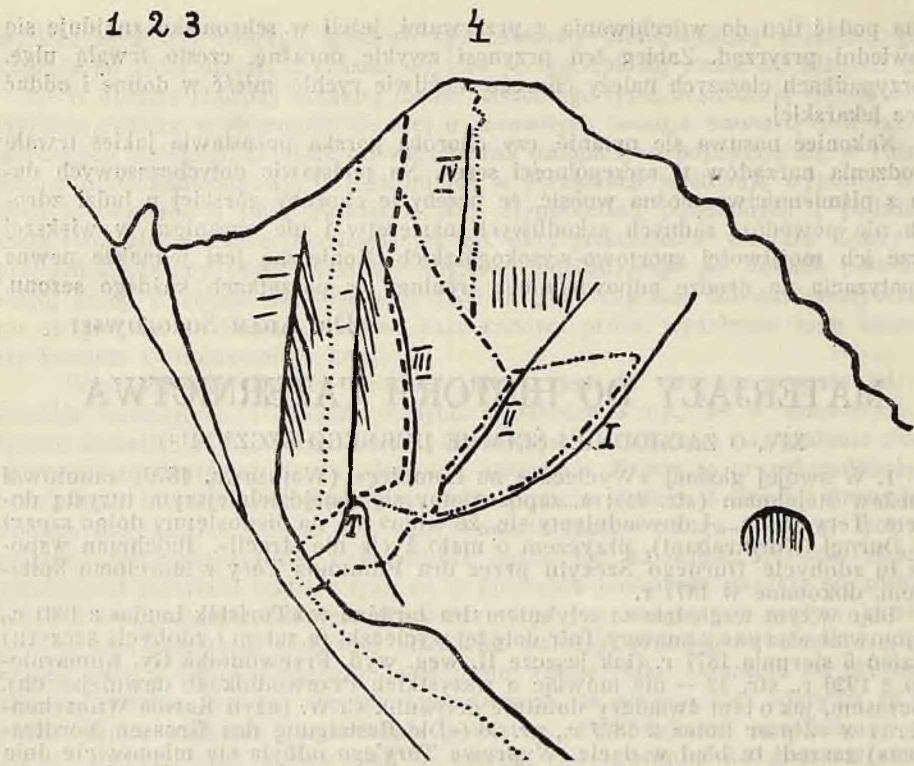
1. W swojej głośnej «Wycieczce na Łomnicę» (Warszawa, 1879) zanotował Bronisław Rajchman (str. 91): «...zapoznajemy się z najdzielniejszym turystą doktorem Téry Ödön... i dowiadujemy się, że wdarł się na niedostępny dotąd szczyt góry Durnej (Nordtrabant), przyczem o mało życia nie stracił». Rajchman wspomina tu zdobycie Durnego Szczytu przez dra Edmunda Téry z Marcinem Spitzkopfem, dokonane w 1877 r.

Idąc w tym względzie za artykułem dra Jordána w «Turisták Lapja» z 1901 r., przyjmowali wszyscy znawcy Tatr datę tej wycieczki (a zatem i zdobycia szczytu) na dzień 6 sierpnia 1877 r. (tak jeszcze II. węg. wyd. Przewodnika Gy. Komarnickiego z 1926 r., str. 43 — nie mówiąc o wszystkich Przewodnikach dawniejszych). Tymczasem, jak o tem świadczy dobitnie artykulik C. W. (czyli Karola Wünschendorfera) w «Zipser Bote» z 1877 r., nr. 36 («Die Besteigung des Grossen Nordtrabanten») zaszedł tu błąd w dacie. Wyprawa Téry'ego odbyła się mianowicie dnia 8 sierpnia 1877 r. Artykulik Wünschendorfera, opisujący wyprawę Téry'ego, wymienia w dwóch miejscach tę datę. Czytamy: «...Nach einen missglückten Versuche am 1 Aug. unternahm er diese kühne Besteigung neuerding in Begleitung des Führers Martin Spitzkopf am 8-ten Aug..» A następnie: «...stellten sie einen Steinhügel zusammen und steckten in die Mitte desselben einen Stock mit der Buchstaben H. I. — T. Ö. 1877. d. 8. Aug.»

Jaką drogą szedł Téry? Literatura przewodnikowa podaje o niej tylko całkiem ogólnikowe wskazówki. Nie ulega wątpliwości, że zdobywcy szli na szczyt od strony zachodniej, zbaczając ze żlebu, spadającego z Durnej Przełęczy ku pd.-zach., w jego zach. ścianę. Z cytowanej już notatki Wünschendorfera wynika to niedwuznacznie. Opis w «Zipser Bote» nie podaje jednak żadnych bliższych szczegółów topograficznych, możemy więc w przybliżeniu przyjąć, że Téry szedł drogą oznaczoną na rysunku ·······, wydostając się w nieoznaczonem bliżej miejscu na pn.-zach. grań Durnego Szczytu i przechodząc drogę w każdym razie odmienną niż przypisana mu w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod nr. 1076. (Należy zresztą zaznaczyć, że opis tam zamieszczony jest wogóle dość fantastyczny i pozbawiony wszelkiego praktycznego znaczenia).

2. Drogi Téry'ego niepowtórzono przez lat 15. Dopiero bowiem dnia 13 września 1892 r. poszedł nią na szczyt dr. Władysław Jármay z Janem Hunsdorferem sen. (por. również «Taternika» z 1933 r., str. 29). Spitzkopf, zdobywca zamierzonej drogi, towarzyszył Jámay'owi aż do Pięciu Stawów Spiskich i pokazał Hunsdosferowi drogę, ale mógł objaśnić tylko tyle «dass man in der direkt von dem Kamme südlich laufenden Schlucht aufwärts klettern muss». Szczegóły drogi Jármay'a (którą zresztą sam on sobie wypatrzył z Lodowego Szczytu, dnia 12 czerwca 1892 r.) możemy jednak poznać dość dokładnie z jego opisu w «Zipser Bote» z 1892 r., nr. 41, zatytułowanego «Eine Besteigung des Nordtrabanten». Wyjmujemy z niego ustępy odnoszące się do charakterystyki drogi: «...Die Schlucht überschritten wir nach $^3/_4$ stündigen Wanderung, und gingen auf der linken Seite derselben... aufwärts... mussten in der Schlucht niedersteigen und dann direct aufwärts klettern... plötzlich zeigte sich die erste Seitenschlucht, rechts vor einem turmartig gebauten

[1]) Według materjałów, użyczonych łaskawie Redakcji «Taternika» przez dra D. Reicharta (Westerów) i prof. A. Grósz'a (Kiezmark).



DURNY SZCZYT OD ZACH. (wg. rys. A. Grósza i D. Reicharta)

1 = Pn.-zach. siodło Durnej Przełęczy 3 = Pd.-wsch. siodło Durnej Przełęczy
2 = Igła w Durnym 4 = Durny Szczyt

Drogi: ············· Téry 1877 — — — — — — — Jármay 1892
—·—·—·—·— Reichart 1927 —··—··—··— Grósz 1930

Felsen. ...dass diese Seitenschlucht nicht passierbar sei. Also vorwärts... Plötzlich war die Schlucht gesperrt, ein grosser überhängender, in der Schlucht eingekeilter Felsen versperrte den Weg vollständig... ...wir mussten jedenfalls auf die rechtseitige Wand hinaufkommen... Glücklich auf der rechte Wand der Schlucht angelangt wandten wir uns nach rechts und umgingen auf glatt(e)n Felsenterrain... den früher erwähnten thurmartigen Felsen auf der hinteren Seite; von diesem Punkte sahen wir schon die Spitze ober uns... Es blieb nichts übrig, als eine zweite Schlucht aufzusuchen... dabei mussten wir wieder gegen 20 Meter tief heruntersteigen. Die setzt erreichte zweite Schlucht bewies sich aber auch nur für kurze Zeit gangbar, so dass wir jetzt links abzweigend, wieder auf Felsenterrain schräg aufwärts klettern». (Stąd było już do szczytu niedaleko i całkiem łatwo).

Na podstawie owego opisu, oraz własnych specjalnych badań w terenie, mógł dr Reichart ustalić z nadzwyczaj dużem prawdopodobieństwem, że droga Jármay'a przebiegała w sposób na rys. oznaczony - - - - - -, czyli że droga Téry'ego była od niej zapewne w znacznej części różna.

3. W czasie gdy Jármay szedł na Durny starą drogą od zach. istniały już jednak na ten szczyt drogi zarówno piękniejsze jak i łatwiejsze i bardziej praktyczne. To też droga pierwszych zdobywców Durnego Szczytu pozostała zapomniana i niezwiedzana, póki nie zajął się nią dr Dezydery Reichart i, dnia 1 lipca 1927 r., nie przeszedł szlaku wpisanego na rysunek -·-·-·-·- «Taternik» z 1930 r., str. 62, słusznie zanotował tę drogę jako I. dopiero pokonanie zach. ściany Durnego Szczytu, aczkolwiek i ona nie przyniosła jeszcze właściwego rozwiązania problemu. Ten sukces stał się udziałem dopiero wycieczki Alfreda Grósz'a i Jerzego Lingscha, dnia 26 sierpnia 1930 r. (na rys. —··—··—). Poniżej podajemy dokładny opis drogi i terenu, przesłany nam przez prof. Grósz'a:

W najniższą część zach. ściany Durnego Szczytu wgłębia się depresja, z której wgórze rozchodzą się w ścianę trzy rynny (na rys. oznaczone I—III). Depresja ta załamuje się w dole pionowym uskokiem, przez który zazwyczaj spływa woda. W l. połaci ściany, pomiędzy opisaną depresją a potężnym żlebem, zbiegającym ku pd.-zach. z Durnej Przełęczy, wyodrębnia się przez całą wysokość ściany grzęda, u dołu tworząca niewielką turnię (na rys. T).

Drogą Nr. 1077 Przew. J. Ch. i M. Ś. aż na wysokość dopieroco wspomnianej niewielkiej turni T w zach. grzędzie Durnego Szczytu i wpr. na połogą ławkę, obchodzącą turnię T od pn. i sprowadzającą ku siodełku poza nią, w opisanej grzędzie. Ławką do jej końca, poczem przez 4—5-metrową ściankę (najtrudniejsze miejsce) na wyżej położoną półkę i nią, niemal poziomo, do owego siodełka, z którego na przeciwną stronę, 10 m wdół do opisanej na wstępie depresji w ścianie.

Niewiele wyżej występuje w owej depresji ok. 20-metrowy próg, ponad który po jego pr. stronie — dobrze uwarstwioną skałą. Tutaj odsłania się nam już widok na całość ściany. Depresja dzieli się tu — jak wspomnieliśmy — na trzy rynny. Najbardziej l. z nich (na rys. III) wiedzie ku pn.-zach. grani Durnego Szczytu i jest naogół łatwa. Tędy szedł już dr Jármay w 1892 r. — Środkowa z tych rynien (rys. II) jest w całej swej długości b. korzystnie uwarstwiona i dlatego łatwo dostępna. Po siedmiu długościach liny rynnę tę należy opuścić, zbaczając wygodną półką w l., ku środkowi ściany, w kierunku innej rynny, wąskiej i stromej. W ten sposób szedł pierwszy dr. Reichart w 1927 r., docierając do owej rynny II. od drogi Nr. 1077 już poniżej turni T, a w dalszym ciągu posuwając się jeszcze dalej w l. i wchodząc pomiędzy drogą Jármay'a a (późniejszą) drogą Grósz'a, na pn.-zach. grań Durnego Szczytu, już w pobliżu jego wierzchołka. — Wreszcie rynna położona całkiem na pr. (I) jest najpokaźniejsza, tak że możnaby ją nawet nazwać żlebem. Dolne 80 m tej rynny nastręczają do pokonania teren dość gładki, kruchy i częściowo nieco trudny. Powyżej staje się jednak ta rynna mniej stroma i całkiem łatwa i wiedzie ku pd.-zach. grani Durnego Szczytu. Tu w l. na piarżyste półki, doprowadzające łatwo do rynny II (tak szli pierwsi Grósz i Lingsch w 1930 r.; wiele kopczyków wskazuje tu dokładnie drogę).

Stoimy teraz w $^2/_3$ wys. ściany, której część górną rozdziela ciemna i b. stroma rynna (na rys. IV) w dwie połacie. Z rynny II. podchodzimy do wąskiej i stromej rynny, leżącej tuż na pr. od rynny IV, i rynną tą wgórę, zrazu łatwo, później cokolwiek trudniej. Ku końcowi rynna gubi się w płytach podszczytowych, tu najpierw nieco wpr., później w l., a wreszcie wprost na wierzchołek (2 godz.).

D r o g a częściowo nieco trudna, urozmaicona i interesująca, wiodąca po mocnej skale. Całość drogi obejmuje 15 długości lin, z czego na część górną przypada 6 długości.

XV. DWA SPROSTOWANIA

1. W związku z przypiskami do naszej notatki o «Dorobku taternickim Władysława Jármay'a» («Taternik» z 1933 r., str. 29) nadesłał nam dr D. Reichart nader interesujące sprostowanie części zawartego tam materjału, oparte na jego własnych źródłowych badaniach przeszłości turystyki spiskiej.

Zatem w myśl jego wyjaśnień: a) III. w. na Baranie Rogi dokonał dr A. Ballagi i dr E. Téry z M. Spitzkopfem sen., w dniu 25 sierpnia 1888 r.; b) t. zw. IV. w. na Kiezmarski Szczyt dokonali dr Greisinger, L. Mednyanszky, L. Lászlo oraz Adolf i Aleksander Gabrielowie, dnia 3 lipca 1889 r.; c) było to zresztą V. w., gdyż IV. w. dokonali Istvánffy i siostry Zobel już w 1888 r.

2. W związku z dwukrotnem zajęciem się powojennego «Taternika» (rocz. 1929, str. 96, oraz rocz. 1930, str. 24) dziejami zimowemi Sławkowskiego Szczytu — należy podkreślić, że obie podane tam wiadomości były mylne i że wogóle dzieje zimowe tego szczytu są klasycznym przykładem trudności badania pierwocin turystyki zimowej w Tatrach, której wiele ważnych szczegółów z mozołem wygrzebuje się z nieraz przypadkowych źródeł, a wiele innych nigdy zapewne nie będzie przypomnianych. Ponieważ jednak ostatnio udało się zestawić zupełnie nową, częściowo dotychczas nieznaną, listę pierwszych dziesięciu wejść zimowych na Sławkowski Szczyt, podajemy ją poniżej, odsyłając czytelników równocześnie do pracy J. A. Szczepańskiego o «Początkach taternictwa zimowego» («Wierchy» z 1933 r., str. 27—44), gdzie wycieczki te znajdują pełniejsze oświetlenie. Na tem miejscu dodajemy jeszcze tylko to, że Sławkowski Szczyt odegrał w pierwszej epoce zimowego odkrywania Tatr rolę wybitną, i że ma on w tych dziejach swój własny, ważny rozdział:

I. w. z. na Sławkowski Szczyt: E. Blásy z J. Gellhofem, dnia 15 stycznia

1873 r. (por. «Turistik und Alpinismus» z 1922 r., str. 79, oraz «Taternik» z 1930 r., str. 24).

II. w. z.: dr M. Szontágh sen., ok. 1880 r. (por. «Jb. d. U. K-V.» z 1880 r.). O obu tych wejściach zapomniano doszczętnie, to też:

III. w. z.: T. Wundt z J. Horvay'em, dnia 15 kwietnia 1884 r. — uważano już w roku wykonania i jeszcze w roku 1929 za pierwsze wejście zimowe. Wycieczka ta była również mało znana, choć wymieniało ją kilka źródeł jak np. «Turisták Lapja» z 1892 r. lub M. Szontágh'a «A Magas Tátra es Hegyvidéke» (Ujtátrafüred, 1895).

IV. w. z.: R. Bartsch z J. Horvay'em i J. Mahlerem oraz J. Kruschem, dnia 14 lutego 1888 r. Dopiero ten sukces stał się naogół znany, Bartsch bowiem opowiedział o nim w «Jb. d. U. K.-V.» z 1889 r., z dużą dozą reklamy. I tej też dopiero wycieczce przyznał «Taternik» z 1909 r., str. 134, pierwszeństwo w wejściu na szczyt.

V. w. z.: J. Müller i tow., dnia 30 kwietnia 1893 r. Jedynem źrodłem do poznania tej wycieczki była «Karpathen-Post» z 1893 r., nr. 21, nic więc dziwnego, że nawet:

VI. w. z.: dr K. Jordán i K. Englisch z J. Franzem i J. Hunsdorferem sen., dnia 1 stycznia 1902 r. — uznano jeszcze raz za pierwsze.

VII. w. z.: nieznanego nazwiska narciarski trener norweski ze Szmeksu, w zimie 1904/05. Szczegół ten ogłosiła pierwsza «Karpathen-Post» z 1932 r., nr. 11, powołując się na wspomnienia dra Michała Guhra.

VIII. w. z.: dr A. Martin, dnia 29 grudnia 1906 r. (por. «Taternika» z 1907 r., str. 26).

IX. w. z.: G. Dalmady i dr J. Tóth, w styczniu 1909 r. To wejście narciarskie «Taternik» z 1909 r., str. 65, nazywa konsekwentnie dopiero «trzeciem wyjściem zimowem» na Sławkowski Szczyt.

X. w. z.: J. Borkowski z S. Byrcynem, dnia 29 grudnia 1910 r. (zarazem I. polskie w. z.). Już co do tego wejścia chronologja jest dość niepewna, zaraz zaś później wejścia zimowe na Sławkowski mnożą się niepomiernie. Nie było wprawdzie na Spiszu warunków na zrobienie z tego szczytu tak popularnej góry zimowej, jaką po polskiej stronie Tatr jest np. Żółta Turnia, ale w każdym razie nie ma tam dziś chyba ani jednego turysty, któryby rozległych i słonecznych zboczy Sławkowskiego Szczytu bodaj raz jeden nartami nie przeciął.

MATERJAŁY DO HISTORJI ALPINIZMU POLSKIEGO

IX. ZDOBYCZE GÓRSKIE ROGOZIŃSKIEGO

Młodociany Stefan Szolc-Rogoziński (ur. w Kaliszu dnia 14 kwietnia 1861 r., zm. zapewne w Paryżu zapewne dnia 1 grudnia 1896 r.), potrafił w latach 1881—1886 wywołać wrzawę polityczno-podróżniczą, jakiej ani przedtem ani potem już u nas nie było, potrafił zmobilizować za, lub przeciw sobie, całą ówczesną elitę umysłową Polski, potrafił wreszcie w sposób naprawdę podziwu godny wpisać polski rozdział w tę jedyną w swoim rodzaju kartę dziejów, jaką było nowoczesne odkrywanie Afryki — poto, aby w kilkanaście lat później zapomniano o nim niemal doszczętnie, i aby ze zdobyczy jego wszelkie praktyczne korzyści wyciągnęli ci właśnie obcy, przeciw którym działał. I trzeba było dopiero 50-ej rocznicy jego podróży, aby zdołano — i to nawpół przypadkiem — odgrzebać jego zasługi z pod pyłu zapomnienia[1]). A zasługi te w perspektywie czasu okazały się ogromne, podobnie jak niezwykłe były losy i dzieje życia Stefana Rogozińskiego.

Jak współczesnego mu Józefa Korzeniowskiego — Josepha Conrada — poniósł Rogozińskiego potężny żywioł morza. Jak Conrad, dusił się chłopiec w ciasnym kręgu ówczesnego pozytywizmu polskiego i ściśle określonej pracy organicznej. Conrad przezwyciężył niemoc własnego środowiska — ucieczką, ekspatrjowaniem się, Rogoziński zbyt był, jak bohaterowie Żeromskiego, «opętany polskością», aby ta udręczona polskość ówczesna nie miała go złamać i zniweczyć dzieło jego życia. Conrad, oficer w służbie angielskiej, Conrad, pisarz angielski, zdobył sobie upragnioną wielkość; udziałem Polaka Rogozińskiego musiało się stać szybkie spojrzenie

[1]) Por. «Taternika» z 1933 r., str. 20. Na dowód zaś, jak nikła była jeszcze przed paru laty znajomość życia i czynów Rogozińskiego, wystarczy podać jeden przykład: że nawet «Taternik» z 1931 r., str. 110, wie o Rogozińskim («Szulcu») tylko tyle, iż «w 1879 r. w tow. dwu Niemców wszedł na Kamerun 4113 m, zwiedzony ledwie raz lub dwa razy przed nim».

na ruinę swego dzieła, a triumf dzieła obcych. I ostatecznie Conrad umarł spokojnie jako dojrzały, olimpijski pisarz, uwielbiany i sławny w całym świecie — gdy Rogoziński, jako zrujnowany awanturnik, zniszczony chorobami tropików i własnych nerwów, umarł przedwcześnie, niewiadomo gdzie i niewiadomo nawet kiedy, opuszczony, zapomniany i zapoznany. A przecież w programie jego i w czynach nie było nieodpowiedzialnej fantazji, a przecież plany jego — pomimo wszystko — były realne i mogły osiągnąć powodzenie. Zgubiła go idea państwowości polskiej, przewodnia idea jego życia w czasach największego upadku polskiej myśli niepodległościowej. Dlatego Rogoziński jest w całej pełni postacią tragiczną, jak i inni, którzy w walce o Polskę przegrali własne życie. Przyczem jego egzotyzm jest już dzisiaj tylko dowodem wszechstronności sił, które nawet przytłumione prawie nieznanym w historji nawałem klęsk politycznych i społecznych, wciąż jednak pulsowały w narodzie polskim.

Wyprawa afrykańska Rogozińskiego pomyślana była bezmała jako szukanie wolnych kolonij dla niewolnej starej ojczyzny. Romantyzm 21-letniego podróżnika poświęcił na ten cel cały majątek ojca i dziada, zapobiegliwych po niemiecku, przemysłowców tkackich. Poparli młodego Rogozińskiego[1]) moralnie Prus i Sienkiewicz, a finansowo hr. Benedykt Tyszkiewicz z Madery. Reszta społeczeństwa ze wzruszeniem ramion odwróciła się od awanturnika, sam *Poseł Prawdy* zwalczał «geograficzną ekspedycję narodu, który nie ma podręczników geograficznych i nie zna własnego kraju». W dodatku Rogoziński zerwał z mającymi go wesprzeć przedsiębiorcami włoskimi, ponieważ patrzyli oni na zamierzoną wyprawę przedewszystkiem pod kątem widzenia handlowych korzyści. Toteż Świętochowski zaopinjował krótko: «paw i papuga, koza i żyrafa», i w imieniu większości ówczesnych Polaków postawił retoryczne zapytanie «czy odkrycia są warunkiem cywilizacji narodów?»...

A jednak wyprawa doszła do skutku, i dnia 13 grudnia 1882 r. Rogoziński — oraz dwaj jego wierni pomocnicy, Klemens Tomczek (ur. w 1860 r.) i Leopold Janikowski (ur. w 1855 r.) — opuszczają Le Havre na żaglowcu *Łucja Małgorzata*. Cele ich podróży były naukowe i polityczne — w «Taterniku» omówimy jednak tylko ich część górską. Rogoziński bowiem ani w Kamerunie ani na wyspie Fernando Poo (dwóch głównych terenach swej działalności) nie zaniedbał bynajmniej poznania gór tamtejszych.

Dnia 21 lipca 1883 r. Rogoziński i Tomczek osiągnęli ląd kameruński i przez kraj Bakundu wyruszyli celem odszukania gór Rumby (1500 m wys.), nieznanych jeszcze Europejczykom. Wyprawę tę, odbytą wśród wielkich trudności podróżniczych, spotyka naogół niepowodzenie, Tomczeka obezwładnia żółta febra. Zkolei — w ciągu marca i kwietnia 1884 r. — bada Rogoziński południowe stoki gór Kameruńskich i zwiedza szczyt Mongo ma Etinde (1774 m), który chrzci nazwą Góry Kraszewskiego. Dnia 20 maja t. r. umiera Tomczek na Mondoleh, ale nieugięty Rogoziński nie ustaje w naukowo-podróżniczej eksploracji kraju i w dniach 8—16 grudnia 1884 r. odbywa wyprawę na najwyższy, trójwierzchołkowy szczyt Kamerunu, zwany przez Murzynów Fako lub Mongo ma Lobach (= Góra Bogów) (4045 m, wzgl. 4070 m, wzgl. 4113 m). Do wyprawy polskiej przyłącza się tu Hugo Zöller, korespondent *Kölnische Zeitung*, podróżujący po wielu krajach z ramienia tego pisma celem zbierania efektownych reportaży egzotycznych. Jednemu ze zdobytych przez siebie wierzchołków nadaje Rogoziński nazwę Góry Honoraty, głównemu wierzchołkowi nazwę Góry Rogozińskiego. Zöller za zabranie go ze sobą wywdzięcza się Polakowi w ten sposób, że zasługę wejścia na szczyt sobie przedewszystkiem przypisuje. W późniejszych swoich pracach Rogoziński parokrotnie ze swej strony żali się na szarlatanerję Zöllera, który podróżując np. wogóle bez busoli, później nibyto sam rysował mapę gór kameruńskich. Wyprawa Rogozińskiego na Mongo ma Lobach była czwartą, a drugą która osiągnęła wierzchołek (I. w.: R. F. Burton i G. Mann w 1861 r., później III. w.: A. Bornmüller i W. Jankowsky w 1900 r.); wiadomość bowiem, jakoby również misjonarz angielski Comber zdobył górę w 1877 r., uważana jest dziś za mylną.

Prócz gór Kameruńskich, Rogoziński zwiedził jeszcze Pico de Santa Isabel czyli Clarence Peak, najwyższe wzniesienie Fernando Poo, 2850 m. Na ten wulkan, łatwo dostępny, wszedł Rogoziński w 1891 r. w tow. swej żony, Heleny z Boguckich[2]). Na wierzchołku pozostawiono wiadomość o wejściu (w jęz. polskim i an-

---

[1]) A ściślej mówiąc: Scholtza, ponieważ «Rogoziński» było tylko panieńskiem nazwiskiem matki, które młody Stefan zaczął używać dla tem większego uwydatnienia swej polskości.

[2]) Z zawodu literatki, pisującej pod kryptonimem Hajota (ur. w Sandomierzu

gielskim) a zabrano zapiskę, donoszącą o pierwszem nań wejściu (komisarz hiszpański Fernando Poo, don Julian Pellon y Ródriquez, dnia 3 kwietnia 1860 r.; później parokrotnie zwiedził jeszcze Clarence Peak G. Mann w 1861 r. i w 1862 r.).

Szerokie i pełne rozmachu, kolonjalne plany Rogozińskiego pokrzyżowali Niemcy, którzy właśnie w owym czasie zamierzali włączyć Kamerun do swoich posiadłości zamorskich. Rogoziński uprzedził ich jednak i w styczniu 1885 r. oddał całe zajęte przez siebie terytorjum pod protektorat Wielkiej Brytanji. Mianowany komisarzem z władzą gubernatora — musiał jednak 25-letni zdobywca bezsilnie patrzeć, jak Anglja już wkrótce odstępowała Kamerun wrogim Niemcom (1885 r.). Nienawiść Niemców (którzy go chcieli nawet uwięzić) dosięgła i jego zdobyczy naukowych. Aczkolwiek bowiem były one ogromne i wszechstronne — Niemcy postarali się przerzucić je na konto innych podróżników. Odrzucili również wprowadzone przez Rogozińskiego nazwy górskie, zastępując je nazwami *Klein-* i *Gross-Kamerunberg*. Ale inni badacze i uczeni uznali zasługi Rogozińskiego, za jedne z wybitniejszych w odkrywaniu Afryki w drugiej połowie XIX wieku. Współcześnie i w Polsce dostrzezono w czynie Rogozińskiego celowy i trafny wysiłek, i z «awanturnika i fantasty» stał się Rogoziński «pionierem polskiej pracy kolonjalnej». Dla turystów górskich w Polsce jest rzeczą cenną, że ten genjalnie uzdolniony pionier szedł również śmiało naprzeciw górskim przeszkodom odkrywanego przez siebie kraju, że umiał je sprawnie zwyciężać.

Literatura: Rogoziński ogłosił w czasopismach i dziennikach polskich i zagranicznych wiele artykułów i rozpraw na temat swej wyprawy: zestawia je całkowicie «Mały słownik pionierów polskich kolonjalnych i morskich» S. Zielińskiego (Warszawa 1933), str. 417—421. Z pośród tych oryginalnych prac Rogozińskiego chcemy wymienić przynajmniej «Trzecie wejście na wierzchołek Mongo — malo — bah...», ogłoszone we *Wszechświecie* z 1885 r., nr. 6 i 7. Wydał też Rogoziński parę osobnych broszur i książek, jak np. «Pod Zwrotnikiem» (Kraków 1886). Stan dzisiejszych badań i dzisiejsze poglądy na wyprawę Rogozińskiego i jej wartość, odzwierciadlają dwie podstawowe prace: Józefa Śliszа «O wyprawie S. S. Rogozińskiego do Kamerunu» (*Wiadomości Geograficzne* z 1932 r., str. 95—108, oraz osobna odbitka) i S. Zielińskiego *op. cit.* Poza tem obszerną literaturę przedmiotu podaje Ślisz, *l. c.*, a przedewszystkiem Zieliński, *op. cit.* str. 179—181, 412, 421—426 i 559—561.

WYPRAWA POLSKA W ANDY

W pierwszej dekadzie grudnia ub. r. przybiła do lądu południowoamerykańskiego osobna wyprawa polska, mająca na celu naukową i alpinistyczną eksplorację części Andów pogranicza argentyno-chilijskiego, położoną na zachód od miast argentyńskich Mendoza i San Juan.

Z inicjatywą zorganizowania tej wyprawy wystąpił już w styczniu 1933 r. dr. Konstanty Narkiewicz-Jodko, zwracając się o poparcie swoich planów w pierwszym rzędzie do STPTT. Powitawszy z radością tę inicjatywę — Zarząd STPTT podjął natychmiast odpowiednie starania w Zarządzie Głównym PTT, celem uzyskania szerszych możliwości finansowych. Projekt był zupełnie realny, dr. Narkiewicz umiał już bowiem uprzednio zainteresować dla swoich celów Ligę Morską i Kolonjalną w Warszawie, która mu zapewniła przejazdy z Polski do Buenos Aires dla 6 osób, oraz dodatkowy drobniejszy zasiłek finansowy.

W ciągu dalszych starań o finansową podstawę dla wyprawy, uzyskała ona 5.000 zł od PTT, 5.000 zł od ofiarodawcy prywatnego, oraz 5.000 zł od wydawnictwa «Gazety Polskiej» (za wyłączność publikacji sprawozdań z wyprawy). Doliczywszy do tego różne kwoty drobniejszych subwencyj — mogła projektowana wyprawa w jesieni ub. roku definitywnie dojść do skutku.

Pierwotny program dra Narkiewicza przewidywał dwa główne cele: w pierwszym rzędzie zwiedzenie pasma brazylijskiego Sierra do Mar, następnie zaś działalność w górach argentyńskich. Wyprawie w Sierra do Mar, jako w góry niskie i pod każdym względem zupełnie podrzędnego znaczenia,

---

w 1862 r., zm. w Warszawie, jako żona arch. Pajzderskiego, w 1927 r.). Por. jej książki «Une ascension au pic S-ta Isabel» (Paryż 1892) oraz «Z dalekich lądów. Nowele i opowiadania, z opisem ekspedycji na Clarence-Pic» (Warszawa 1893, II wyd. 1925).



Fot. W. P.

KOZIE CZUBY I KOZI WIERCH Z DOLINY PUSTEJ



Fot. Feliks Larisch

CZARNY SZCZYT

sprzeciwił się stanowczo Zarząd STPTT; w czerwcu ub r. dr. Narkiewicz zerwał z tej racji porozumienie z STPTT, ale w dalszym przebiegu wypadków uległ jednak sile jej argumentów i przełożył wyjazd do Brazylji na drogę powrotną i tylko na wypadek dysponowania dodatkowemi funduszami.

Jedynym celem wyprawy pozostały zatem Andy. Organizatorzy wyprawy wzięli pod uwagę i zamierzają kolejno zwiedzić w nich dwie grupy górskie, jedną, położoną tuż na północ od Przełęczy Uspallata 3967 m i skupioną wokół Aconcaguy — i drugą, o sto km dalej ku północy wysuniętą grupę Cordillera de San Juan.

Te grupy górskie są b. wysokie, jedna zbliża się, a druga nawet przekracza 7.000 m wys. Masyw Aconcaguy jest — jak wiadomo — najwyższy w całych Andach a temsamem w całej Ameryce. Wysokość szczytu Aconcaguy obliczyły pomiary chilijskie na 6.958 m, pomiary argentyńskie na 7.130 m. Dziś przyjmuje się powszechnie wys. 7.015 m. Otacza Aconcaguę szereg szczytów ponad 5.000 m wys., jak Cathedral, Tolosa, Santa Maria, Cuerno i i. Najwyższą częścią Cordillera de San Juan jest łańcuch La Ramada, ze szczytem Mercedario, wysokim zapewne na 6.800 m i temsamem drugim z rzędu pod względem wysokości szczytem amerykańskim. Obok Mercedario wyróżniają się tutaj 6-tysięczne szczyty La Mesa i Cerro Almanegra, oraz pewna ilość szczytów 5-tysięcznych.

Zarówno grupa Aconcaguy jak i Ramada charakteryzują się klimatem względnie suchym i ciepłym, aczkolwiek w całej pełni wysokogórskim. Skąpość opadów sprawiła następnie, że olodzenie tych gór w stosunku do ich rozmiarów i wysokości jest względnie nieznaczne, czoła lodowców znajdują się dopiero na wys. 4.000 m. Szczyty przedstawiają się tu jako potężne, wyniosłe kopuły, dostępne naogół bez żadnych trudności technicznych, tak jak np. Tatry Zachodnie w porze wiosennej. Trudności ich zwiedzania mieszczą się zatem w zagadnieniach wysokościowo-podróżniczych.

Tym okolicznościom, oraz korzystnemu położeniu geograficznemu koło Uspallaty (pod którą w 1911 r. przebito tunel kolei transandyjskiej) zawdzięcza przedewszystkiem Aconcagua swą długą już historję odkrywczą i alpinistyczną, sięgającą XVI w. (konkwiskador Almagro ogląda Aconcaguę z wyżyn ponad Puente del Inca, 1535 r.), oraz pierwszej połowy XIX w. (przejście przez Uspallatę, 1835 r.). Dzieje ściśle alpinistyczne masywu rozpoczynają się z końcem XIX w., w 1883 r. dr. Paul Güssfeldt osiąga na Aconcagwie wys. 6560 m, w 1897 r. zostaje zdobyta Aconcagua (M. Zurbriggen) i Cathedral, w 1904 r. Tolosa i t. d., następuje tu wogóle wcale żywy ruch odkrywczy, niemal co roku ogarniający nowe doliny i nowe szczyty. Sama Aconcagua otrzymuje ogółem sześć wejść (por. «Taternika» z 1933 r., str. 44), sąsiadujące z nią szczyty badają systematycznie podróżnicy niemieccy i angielscy, jak również wychodźcy niemieccy w Chile, skupieni najpierw w organizacji *Turnverein-Santiago*, a później w energicznej *Section Chile d. D. u Oe. A.-V.* Ci Niemcy wydają od 1922 r. specjalne czasopismo wysokogórskie «Andina», na terenie chilijskim założyli też pierwsze schronisko górskie w Ameryce Południowej Lo Valdes (2000 m) i wykształcili pierwszych przewodników. O historji odkrywania tych terenów dałoby się zresztą powiedzieć wiele interesujących szczegółów, odkładamy je jednak do późniejszych sposobności.

Po stronie argentyńskiej Andów niema tak żywego ruchu jak po stronie chilijskiej — zupełnie brak go zaś w Ramadzie, która pod względem poznania naukowo-turystycznego stanowi jaskrawe przeciwieństwo z Aconcaguą. Aż do obecnej chwili potrafiło to gniazdo górskie w zadziwiający wprost sposób uniknąć penetracji alpinistycznej. Zarówno Mercedario, jak i jego oto-

czenie — to szczyty jeszcze dziewicze i mało znane, jakkolwiek nie nastręczają ani części tych trudności, z jakiemi spotkać się musi alpinista w górach Azji czy Afryki Centralnej, a nawet w peruwiańskich grupach Andów, i aczkolwiek dostęp do nich jest względnie łatwy (drogi mułowe podchodzą np. na odległość 8 km w linji powietrznej do szczytu Mercedario). Krótko mówiąc, o ile dzieje zdobywania masywu Aconcaguy stanowią już osobną i dość zapisaną kartę alpinizmu egzotycznego — o tyle cała dotychczasowa historja Ramady da się streścić w jednem zdaniu: w 1911 r. zwiedzają je Franz Kühn i, osobno, Walter Schiller, bardziej podróżnicy niż alpiniści, rezygnujący zgóry z eksploracji partyj szczytowych.

* *
*

Wyprawę polską zestawił dr. Narkiewicz z sześciu osób. Jak już zaznaczyliśmy na wstępie, wyprawa ma mieć na oku zarówno cele wysokogórskie jak i naukowe [1]. W wyprawie biorą udział:

1) Dr. Konstanty Narkiewicz-Jodko, który, prócz ogólnego kierownictwa, ma przeprowadzić badania promieni kosmicznych; 2) Inż. Stefan Daszyński, który — jako znający już teren południowo-amerykański — pokieruje stroną podróżniczą wyprawy, a także uskuteczni badania geologiczne i topograficzne; 3) Dr. Jan Kazimierz Dorawski, jako lekarz wyprawy, zamierzający nadto dokonać badań fizjologicznych [2]; 4) Inż. Adam Karpiński, szef wyekwipowania, który zajmie się też meteorologją zwiedzanych terenów; 5) Inż. Stefan Osiecki, nakręci film wyprawy; 6) Wiktor Ostrowski, którego zadaniem jest fotografja naukowa i dokumentalna (?)

W drugiej połowie grudnia ub. r. przybyła wyprawa do Puente del Inca, skąd około Bożego Narodzenia 1933 r. rozpocznie swą działalność w terenie, najpierw zapewne w masywie Aconcaguy.

* *
*

Jak wiadomo choćby z «Taternika» z 1933 r., str. 116 i 128 — STPTT nie bierze ostatecznie w omawianej wyprawie swego oficjalnego udziału, aczkolwiek Zarząd STPTT czynił wiele aby do tego udziału doprowadzić, i aczkolwiek prywatnie poparł wyprawę czy to udzielając pożyczek jej uczestnikom, czy to wypożyczając jej część kosztownej i trudno dostępnej literatury andyjskiej. Nie znaczy to jednak, aby nasz stosunek do wyprawy *jako takiej* ograniczał się do neutralnej obserwacji. Przeciwnie, z całego serca życzyliśmy i życzymy uczestnikom wyprawy — w większości zresztą członkom STPTT — jak największego powodzenia, zarówno w wysokogórskich jak i w naukowych przedsięwzięciach, i wierzymy, że uczynią oni wszystko co będzie w ich mocy, aby całkowicie spełnić nadzieje, jakie wszyscy do I. polskiej wyprawy naukowej w góry egzotyczne przywiązywać musimy.

K. R.

---

[1]) W wywiadzie, zamieszczonym w «I. K. C.» z dnia 11 listopada ub. r. oświadczył dr. Narkiewicz: «Dotychczas alpinizm polski miał charakter raczej sportowy, a nasza ekspedycja wytyczy sobie cele naukowo-odkrywcze i propagandowe». Tych słów użył i w art. w «Gazecie Polskiej» z dnia 8 listopada ub. r., gdzie pozatem zamieścił dość nieprzyjemne fantazjowania na temat Andów (w rodzaju np. tego, że są «drugiemi co do wysokości górami na świecie»!).

[2]) W «Gazecie Polskiej» z dnia 30 listopada 1933 r. notuje on, iż badania jego «będą pełniejsze niż w czasie którejkolwiek z ostatnich wypraw himalajskich».

CZY UPADEK POLSKIEGO TATERNICTWA?

UWAGI NA MARGINESIE SEZONU LETNIEGO 1933

Lato 1933 r. trudno nazwać udanem pod względem taternickim. W porównaniu z okresem 1928—1932 zaznaczyło się ono przedewszystkiem nierównie słabszem, niż dotąd, nasileniem ruchu taternickiego. Tempo żywiołowego przedtem pochodu polskich wspinaczy od jednego skalnego zwycięstwa do drugiego, osłabło i załamało się wyraźnie. Zarówno pod względem ilości chodzących, jak i ilości i jakości odbytych dróg, pozostaliśmy daleko w tyle w porównaniu choćby z rokiem 1932. Zaledwie kilka pierwszorzędnych problemów. Tylko kilkanaście godnych odnotowania powtórzeń.

Czyż więc upadek polskiego taternictwa? Czyż rację ma J. A. Szczepański (por. jego artykuły w «Przeglądzie Sportowym» i «I. K. C.»), gdy twierdzi, iż wkroczyliśmy w okres dekadencji, iż wzniesienie szczytowe polskiego taternictwa mamy już poza sobą? I że w Tatrach zabrakło dziś naprawdę pierwszorzędnych problemów, co właśnie warunkować ma nastanie ery schyłkowej? I wreszcie, czy jest rzeczą słuszną upatrywać jedyny ratunek dla polskiego taternictwa w wyprawach w góry dalekie?

Pozornie trudno odpowiedzieć przecząco na te wszystkie pytania. A jednak bliższa i spokojna ocena faktów rzuca zupełnie odmienne światło na rzeczy, zdawałoby się, całkiem oczywiste. Tak więc osłabioną aktywność taternicką w lecie roku 1933 tłumaczą przedewszystkiem fatalne w tym roku warunki atmosferyczne: śnieg zalegał w Tatrach aż w głąb lata, potem nastąpił okres uporczywej niepogody, a wkońcu w drugiej połowie sierpnia spadł nowy śnieg, który do reszty uniemożliwił wspinaczki w Tatrach Wysokich. Dalej, ktastrofa Wiesława Stanisławskiego na Kościółku podziałała deprymująco na wszystkich niemal czynnych w owym czasie w górach taterników. Zabrakło również w tym roku w Tatrach — całkowicie lub conajmniej częściowo — kilku najczynniejszych ostatnio wspinaczy. Tak więc, gdy jedni zginęli śmiercią górską (Birkenmaier, Stanisławski), innych unieruchomiła służba wojskowa (Korosadowicz, Sawicki i t. d.). Wreszcie taternikom polskim nie dopisało w tym sezonie i samo szczęście wspinacze. Cechę charakterystyczną ostatniego lata stanowi bowiem dość duża ilość problemów, atakowanych bezskutecznie, że wymienimy tylko wyprawy Korosadowicza na wschodnią ścianę Mnicha i zachodnią Łomnicy. W obu wypadkach środek ściany «nie puścił». Podobnież niepowodzeniem zakończyły się dwa szturmy podjęte z Doliny Białej Wody: na pn.-zach. ścianę Świstowego Rogu (niżej podpisany i H. Mogilnicki) oraz na pd. Czeskiej Turni (niżej podpisany i B. Chwaściński). I tutaj trudności okazały się nie do przebycia.

Te wszystkie momenty tłumaczą bardzo wiele, niewątpliwie nie usprawiedliwiają jednak wszystkiego. Trudno zaprzeczyć, iż taternicy polscy dokonali w tym roku w górach znacznie mniej, niżli to było możliwe w tegorocznych niesprzyjających warunkach. Dlaczego?

Mam wrażenie, że bez obawy popełnienia większej przesady, mówić możemy o pewnem załamaniu się psychicznem szeregu naszych czołowych taterników, których inicjatywa i ochota tatemicka zmniejszyły się znakomicie. To nie objektywne warunki górskie (wyczerpanie się problemów) ale kryzys duchowy niektórych naszych wspinaczy zakreślił tak skromne szranki, w jakich zawarte zostały zdobycze polskiego ruchu taternickiego w 1933 r. Jeśli w tych warunkach wogóle można mówić o kryzysie taternictwa, to istotę jego upatrywałbym w kryzysie psychicznym przynajmniej części elity taternic-

kiej. Być może, jest to zjawisko przejściowe, bądź co bądź zasługuje jednak na odnotowanie. Przy sposobności podkreślić również należy brak młodego narybku w szeregach taternickich. Od dłuższego już czasu kroniki taternickie notują wciąż te same niemal nazwiska!

W sumie są to jednak wszystko rzeczy raczej przemijające. Na podstawie minionego sezonu trudnoby więc było przewidywać, iż sezon 1934 stać będzie pod znakiem dalszego »upadku». Przeciwnie — możliwe są różne niespodzianki.

Zkolei sprawa wyczerpania się problemów. Mojem zdaniem, nie jest słuszny pogląd, który widzi w tem objektywną przyczynę, warunkującą dalszy rozwój tendencyj «schyłkowych» w polskiem taternictwie. Bezspornie — problemów jest wciąż mniej i ilość ich zmniejsza się wcale gwałtownie. Niepodobna jednak utrzymywać, aby brakowało już w Tatrach problemów naprawdę pierwszorzędnych. Dość bowiem wymienić niezdobyte dotąd partje skalne na wsch. ścianie Mnicha, na zach. ścianie Łomnicy, na pn.-wsch. ścianie Rumanowego, na Przełęczy Terjańskiej Niżniej od pn., na pd. ścianie Czeskiej Turni i tylu, tylu innych, nie licząc już wielkiej jeszcze ilości mniejszych problemów.

Protestuję bowiem kategorycznie, aby problem tatrzański można było i należało traktować analogicznie, jak problem dajmy na to alpejski. Tatry są małe, stąd i problemy tatrzańskie muszą mieć swoisty charakter i niepodobna ich zakreślać na miarę wyłącznie alpejską. W rezultacie — mojem zdaniem — niesposób twierdzić, aby z chwilą poprowadzenia na danej ścianie jednej drogi, następnie przejścia, wiodące inną częścią tej ściany (a więc np. jej krawędzią, itp.) pozbawione były większego znaczenia, już przez sam fakt istnienia ich poprzedniczki. Przeciwnie, o ile ściana jest istotnie duża, mogą to być drogi równie ciekawe i doniosłe pod względem taternickim, jak pierwsza droga zdobywców całego masywu. Unikajmy zatem przesady. To nie Tatry się kończą, to nie problemy się wyczerpały, ale wyczerpali się psychicznie i wyżyli pod względem taternickim — być może tylko chwilowo — niektórzy czołowi dotąd taternicy.

W tym właśnie momencie, oraz w szeregu wyliczonych już okoliczności losowych, upatruję przyczyny słabego sezonu.

Wreszcie — wyprawy w góry dalekie. Nie ulega wątpliwości, musimy dołożyć wszelkich sił, aby zapoczątkowana obecnie polska ekspanzja alpinistyczna w góry dalekie, stanowiła nowy i trwały wkład w polski ruch wysokogórski. Rzecz jasna — wyprawie w Andy życzymy jak największych sukcesów.

Ale nie odwracajmy się jednocześnie od Tatr. Nie popełniajmy przesady. I tutaj jest jeszcze wiele do zrobienia..

TADEUSZ BERNADZIKIEWICZ

NAJPIĘKNIEJSZA NOC

(26 SIERPNIA 1931 ROKU)

Jakże ciężko złorzeczyłem sobie, brnąc poomacku przez rumowiska Siarkańskiej Doliny, spowite nieprzejrzanym całunem mgły, w której opornie i nieśmiało rozpraszała się zdławiona jasność niewidzialnego księżyca...

A jednak:

— — gdy gwałtowny podmuch wiatru rozpędził mroczną gęstwę mgieł

— — i gdy ponad matową taflą Smoczego Stawku, na tle wyiskrzonego migotliwemi gwiazdami, ciemnego granatu nieba — ujrzałem fantastyczne i niesamowicie bliskie kształty masywu Wysokiej

— — i gdy ogarnąłem zachwyconym wzrokiem Góry — śniegiem, podczas ostatnich szaleństw niepogody spadłym, przyprószone, i pancerzem lodowym, przekutym z potoków wczorajszej ulewy przez mroźną noc... sierpniową, w górze pokryte, — które w otoczeniu świetlistych, szybkomknących chmurek lśniły tajemniczo w spokojnych blaskach pełni, tworząc — groźny, dziki i niesamowity, we wzniosłem pięknie pierwotności zastygły — obraz «Srebrnego Globu»,

— — wówczas powstydziłem się przekleństw, rzucanych na swój «niepoprawny romantyzm», który mi kazał wygodny i ciepły sen pod skalnym okapem koleby zamienić na nocną włóczęgę...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Ośmiometrowy, wodą ociekający, pionowy próg bronił mi dostępu do żlebu, który wiedzie ku Smoczej Przełączce. Ćwierć wieku temu musieli zawrócić zeń — Dyhrenfurth i Rumpelt... Gdym doń szturmował, bronił się ciemnością, pryskał mi w twarz lodowatym strumieniem i mrozil do cna zgrabiałe dłonie. Uległ mi przecież po kilkakrotnie odpartych, zawziętych atakach i pozwolił — poprzez zdradliwą kruchość mokrych stopni i progów, spiętrzonych stromo w krzesanej cieśni żlebu — dotrzeć do nieporównanego, wspaniałego wyciosu przełęczy, której gardziel wyrzucała regularnie wykrajane, srebrne od drgań księżycowych języki mgły.

Nad sennemi, w mroku dali ginącemi wyżynami Spisza, różowiły się wtedy bojaźliwie — pierwsze tony brzasku.

A gdy nieco później — na Smoczej Grani, znaczącej mglistemi konturami szlak braci Żuławskich sprzed dwudziestu dwu laty — biły mi po twarzy zimne i mokre szmaty mgieł, — na odsłaniających się chwilami wśród wzburzonego odmętu, żebrach Wysokiej — bladły ostatnie blaski «Srebrnego Globu»...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Miałem potem mozolne i ciężkie chwile, gdy w zejściu oślizgłym, pionowym kominkiem musiałem, bez asekuracji, wyrąbywać z pod lodowej skorupy każdy stopienek, każdy chwyt, — miałem potem — na wierzchołku Kopy Popradzkiej — w fantazji najbujniejszej niewyobrażone, niesamowite w kolorycie scenerje mgieł...

Wszakże jeszcze popołudniu, gdy już wchłonęła mię słoneczna senność spiskiego podgórza, marzył mi się — groźny, dziki i niesamowity, we wzniosłem pięknie pierwotności zastygły — obraz «Srebrnego Globu»...

Marzyła mi się — moja najpiękniejsza noc...

ZDZISŁAW DĄBROWSKI

SKALNE DROGI

KOZIE CZUBY z Dol. Pustej.

Mur Kozich Czub z Dol. Pustej może być obecnie pokonany czterema sposobami:

1) drogą — nieco trudną — Nr. 84 Przew. J. Ch. i M. Ś., wywodzącą na siodełko między najwyższą a środkową turnią szczytową (dr M. i dr S. Świerzowie, dnia 2 września 1918 r.);

2) odmianą drogi powyższej, polegającą na przejściu dolnego z dwu omówionych na początku opisu owej drogi zachodów, i nim osiągnięciu siodełka, w którem górny i dolny zachód się łączą. Z krótkiego lecz dość szerokiego żlebku, występującego tu w ścianie, wybiegają w l. wgórę trzy kominowate rynny. L., najniższą z nich, wgórę do najbliższego trawiastego żlebku i nim na przełączkę pomiędzy dwoma niższymi wierzchołkami Kozich Czub. Droga krótka (3/4 godz.) i łatwa, stanowiąca najłatwiejszy sposób pokonania pd. ściany Kozich Czub (A. i J. A. Szczepańscy, dnia 7 lipca 1932 r.);

3) drogą — częściowo b. trudną — opisaną w «Taterniku» z 1929 r., str. 63, a wyprowadzającą do przełączki między dwiema niższemi turniami szczytowemi (L. Skotnicówna, B. Czech, W. Stanisławski, J. Ustupski i J. Wójcik, dnia 9 czerwca 1929 r.);

4) odmianą drogi powyższej, wiodącą wprost na zach. turnię szczytową (J. Czechówna, B. Czech, J. Gnojek, A. Kenar, S. Motyka i T. Pawłowski, dnia 8 lipca 1929 r.). Opis tej drogi, w całości, winien brzmieć:

Wejście w skały nieco na pr. od linji spadku przełączki między niższymi wierzchołkami Kozich Czub, u stóp dość szerokiej, skośnie w l. wrzynającej się w ścianę rynny. Rynną tą, ku końcowi przekształcającą się w kominek, wgórę, poczem w l., trawą przetykanemi stopniami, pod płytową ściankę, poprzez którą skośnym trawersem w pr. zpowrotem do kominka i nim wgórę na trawiasty lecz rumowiskiem przysuty taras, skąd, pod urwistemi skałami, skośnie w l. do wyraźnej grzędy. Pod zwisającym blokiem w l., na przetykane trawą, wysokie, skaliste stopnie, któremi wgórę do niewielkiej, cokolwiek przewieszonej rysy i nią do początku dość długiego i szerokiego zachodu, u stóp stromych, gładkich płyt bloku szczytowego zach. turni Kozich Czub, na pr. od których przebiega teraz reszta drogi. Zachodem ok. 30 m wpr. do komina, którego najpierw dnem a później pr. ścianką wgórę na obszerny trawiasty taras, skąd do następnego komina i nim na l., ostrą grzędkę. Stąd kilka m rysą w l., poczem stromą ścianką na boczne żeberko i niem na zach. wierzchołek Kozich Czub (3½ godz.). Droga trudna, w dolnych partjach o kruchej skale.

MNICH. I. wejście pn.-wsch. ścianą. H. Dębińska, A. Jasińska, J. Wojsznis i J. Żuławski, dnia 22 sierpnia 1930 r. (Opis J. Wojsznisa).

Od małego progu, jakim urywa się półka, biegnąca popod pn. ścianą Mnicha, poprzez jedną z rys wgórę, na skośnie w pr. biegnący trawnik. Z jego l. końca rysą przekształcającą się w kominek do półeczki, którą w pr. pod pionową rysę w rozwartokątnem załamaniu ściany. Rysą (najtrudniejsze miejsce) do głębokiego, łatwego zacięcia, z końca którego na grzędkę i z niej (nie schodząc na drugą stronę) w l. na ściankę, poczem wgórę na dość szeroką i niemal poziomą, górną część pn.-zach., pn. i pn.-wsch. ściany Mnicha owijającą półkę. Przeciąwszy tu drogę Nr. 191 Przew. J. Ch. i M. Ś. — przez przewieszkę, w miejscu, gdzie jest największa, i wgórę zpowrotem do drogi Nr. 191, którą już na wierzchołek (2½ godz.). Droga skrajnie trudna i b. piękna, o mocnej skale.

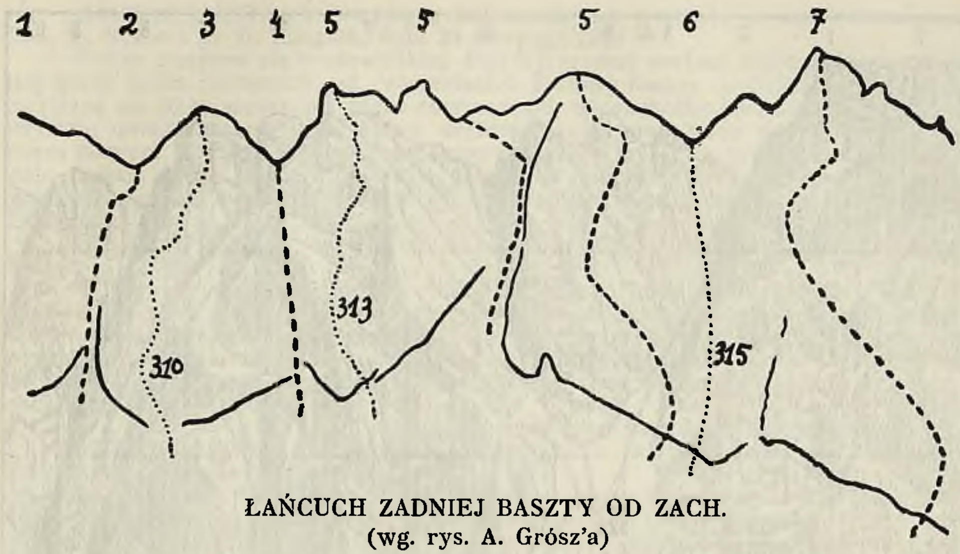
CAPIA PRZEŁĄCZKA. I. wejście od zach. A. Grósz i dr G. Lingsch, dnia 4 lipca 1930 r.

Z przełęczy spada na stronę Dol. Młynicy dość głęboki żleb, zwężający się ku końcowi w częściowo przewieszony komin, ponad którym parometrowa, trawiasta rynna doprowadza już do wcięcia przełęczy.

Wspomnianym żlebem aż pod opisany komin, wypełniony gruzem i luźnymi blokami. Kilka m poniżej wylotu komina — 20 m w pr. na ścianę Małej Capiej Turni, wąską półką pomiędzy niepewnymi, wiszącymi blokami a niewielką przewieszką, na łatwiejszy teren i nim wgórę i w l. po kilku łatwych m na przełęcz (1 godz.) Droga częściowo dość trudna.

BASZTOWA PRZEŁĘCZ WYŻNIA. I. zejście ku zach. A. Grósz i A. Wiegandt, dnia 11 września 1920 r.

Z przełęczy spada ku zach. żleb, którym zupełnie łatwo wdół aż do miejsca, gdzie, 60 m ponad piargami, żleb zwęża się i dzieli w dwie rynny. Schodzić można



ŁAŃCUCH ZADNIEJ BASZTY OD ZACH.
(wg. rys. A. Grósz'a)

.... drogi, opisane w Przew. J. Ch. i M. Ś.
— — — — — drogi, opisane w bież. zeszycie «Taternika»

1 = Wielka Capia Turnia 3 = Mała Capia Turnia 5 = Zadna Baszta
2 = Capia Przełączka 4 = Basztowa Przełęcz Wyżnia 6 = Djabla Przełęcz
7 = Djabłowina

obiema: l. (pd.) z nich jest mniej stroma, wszakże spowodu kruchej skały niecałkiem bezpieczna, natomiast pr., miejscami pionowa, zmienia się w komin, umożliwiający zejście na piargi zapomocą zapierania się (40—50 min). Droga w dolnej części dość trudna.

ZADNIA BASZTA. I. zejście ku zach. z przełączki między środkowym a południowym wierzchołkiem. Podpisani, dnia 29 lipca 1933 r.

Z pd. wierzchołka Zadniej Baszty schodzi w Dol. Młynicy piękny, skalisty żleb, tworzący u swoich stóp największy w całej okolicy stożek piargów (i stąd b. łatwy do zidentyfikowania) a przełamany wielu niskimi progami, jednak o doskonale uwarstwionej skale. Z przełączki pomiędzy środk. a pd. wierzchołkiem Zadniej Baszty wskos w l. do żlebu i bądź jego dnem, bądź skałami z pr. strony — na złomy Dol. Młynicy (25 min.) Droga nieco trudna, prosta i praktyczna.

J. K. Dorawski J. Kiełpiński A. Szczepański J. A. Szczepański

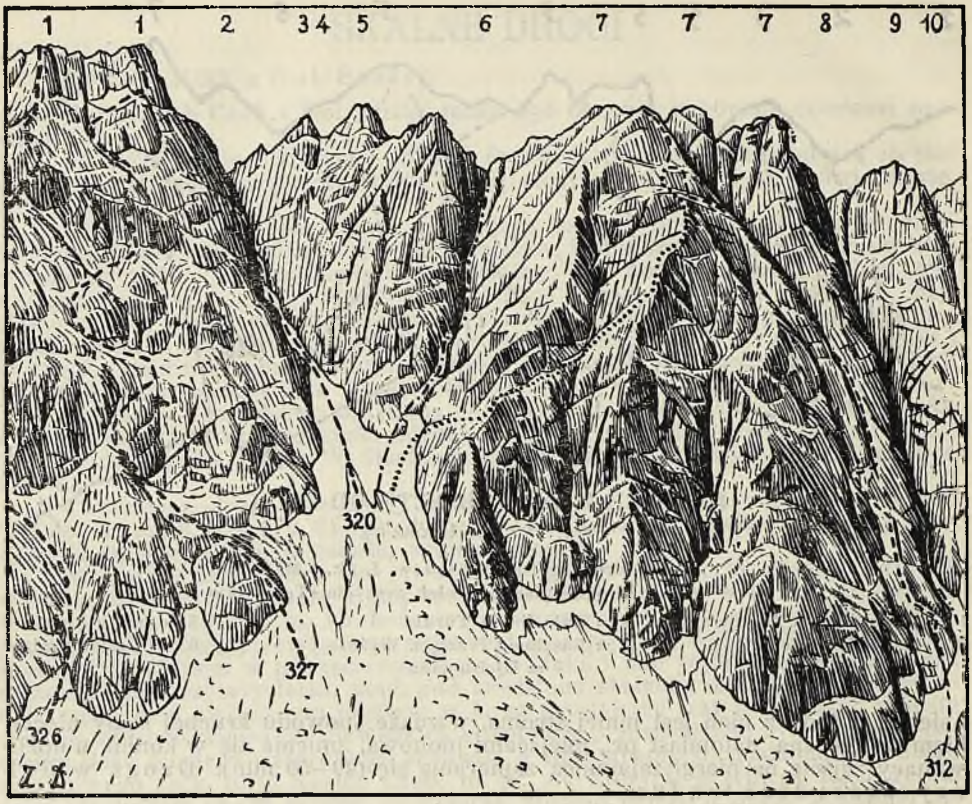
ZADNIA BASZTA. Nowa droga od wsch. Podpisani, dnia 29 lipca 1933 r.

Trójwierzchołkowa Zadnia Baszta opada ku Dol. Mięguszowieckiej ogromnym[1]) i urwistym murem skalnym, pociętym w liczne żebra i depresje, którego połacią pn. — zwróconą ku wsch.-pn.-wsch. — wiedzie droga Nr. 312 Przew. J. Ch. i M. Ś., natomiast połacią pd. — zwróconą ściśle ku wsch. — droga poniżej opisana.

Dolna część tej połaci ściany opada niemal pionowem urwiskiem ku olbrzymiemu stożkowi piargów, opisanemu w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod Nrem 310. W celu jego obejścia idziemy do ujścia żlebu, spadającego z Djablej Przełęczy ku wsch. i opisanego w «Taterniku» z 1931 r., str. 93. Pr., pn. zamknięciem tego żlebu jest potężne, w kilka ramion rozdzielające się żebro, odchodzące od pd. wierzchołka Zadniej Baszty. Na dolną, a najbliższą wspomnianemu żlebowi, część tego żebra, wybiegają od ujścia żlebu dwa strome, trawiaste zachody, z których górny, szerszy i wybitniejszy, daje początek już z doliny dobrze widocznemu, wskos wgórę w poprzek ściany ku pd. wierzchołkowi ciągnącemu się, systemowi trawiastych zachodów i półek; one to stanowią główną linję poniżej opisanej drogi.

Od ujścia wsch. żlebu Djablej Przełęczy zazwyczaj przez śnieg na wspomniane żebro, którem 30 m wgórę po trawie, aż do miejsca, gdzie wrasta ono w urwisko. Tu łatwym trawersem 20 m w pr. na boczne, małe żeberko (kopczyk), skąd

[1]) W najniżej na piargi schodzących urwiskach, ściana liczy zgórą 450 m wysokości.



SZATAN, DJABLOWINA i ZADNIA BASZTA od WSCHODU

Widok z Kopy Popradzkiej. Rysował według fotografij Zdz. Dąbrowski.

1. Szatan. — 2. Szatania Przełęcz. — 3. Piekielnikowa Turnia. — 4. Piekielnikowa Przełączka. — 5. Djablowina. — 6. Djabla Przełęcz. — 7. Zadnia Baszta. — 8. Basztowa Przełęcz Wyżnia. — 9. Mała Capia Turnia. — 10. Capia Przełączka

– – – – drogi, opisane w Przew. J. Ch. i M. Ś. ······· droga, opisana obok.

—·—·—·—·— droga na Djablą Przełęcz od wsch. (p. „Taternik" z r. 1931, str. 93–94).

—··—··—··— początek drogi na Basztową Przełęcz Wyżnią pn.-wsch. kominem.

nieco trudną, trawiasto-piarżystą półką, u stóp pionowych urwisk, pod dolną z dwu niewielkich rys na linji dotychczasowej drogi, któremi półka się przerywa. Na pr. od dolnej rysy, b. eksponowaną listwą skalną 5 m poziomo wpr. na boczne, dogodne stanowisko. skąd wprost wgórę 4 m, wciągając się ryzykownie na trawiastych, niepewnych chwytach, ponad dolną rysę i po skale pod górną rysę, od której tuż na pr. do łatwiejszego terenu, już w linji spadku olbrzymiej, wciąż u stóp naszych z pr. strony rozwartej depresji. Łatwym, szerokim, trawiastym zachodem stromo wgórę wpoprzek depresji na wybitne, przeciwległe żebro, którem wgórę (kopczyk), zpoczątku łatwo i bezpiecznie. Ku końcowi zyskuje jednak żebro na stromości, nader zrujnowaną tu skałą, posuwając się dość trudno cokolwiek z pr. str. żebra, na przełączkę pomiędzy pd. a środkowym wierzchołkiem Zadniej Baszty (2 godz.).

D r o g a c z ę ś c i o w o t r u d n a i e k s p o n o w a n a, o r a z — spowodu kruchych skał i urwistych traw — n i e b e z p i e c z n a.

J. K. Dorawski J. Kiełpiński A. Szczepański J. A. Szczepański

ZADNIA BASZTA. I. wejście od zach. na południowy wierzchołek. A. Grósz i dr G. Lingsch, dnia 20 sierpnia 1930 r.

Droga poczyna się w niewielkiej depresji (rynna wodna) występującej w dolnej partji ścian, łączących pd. wierzchołek Zadniej Baszty z Djablowiną. Ponad tą rynną ok 60 m wgórę pd.-zach. zboczem pd. wierzchołka Zadniej Baszty do korzystnie uwarstwionej, w l. wgórę wybiegającej rynny i nią do jej końca, poczem łatwym terenem ku środkowi masywu, gdzie wyraźny system rynien wskazuje dalszą drogę. Już w pobliżu grani po dobrze uwarstwionej skale w l., wreszcie wprost na wierzchołek (1 godz.). Droga częściowo nieco trudna.

DJABLOWINA. II. wejście zach. ścianą[1]). Podpisani, dnia 7 lipca 1926 r.

W połowie wysokości ściany widać wyraźnie białe skały, poniżej których żłobi się w niej dość wybitna depresja. Nią, ku skałom, szeroką rynną, którą ścieka woda. Rynna zamyka się piarżystą platformą — tu w l. na wątłe żeberko i zaraz w pr., do drugiej niskiej rynny. Gdy i ta się skończy — w pr. wygodnemi, trawiastemi stopniami na skaliste żebro, którem (pod koniec b. stromo) na wierzchołek (40 min.). Droga nieco trudna.

A. Szczepański J. A. Szczepański

PRZEŁĘCZ POD CHŁOPKIEM. I. wejście wprost od pn. Podpisany z T. Piechowiczem, dnia 5 sierpnia 1930 r.

Od Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem drogą Nr. 411 Przew J. Ch. i M. Ś. do kotła pod Mięguszowieckiemi Szczytami i do stóp dolnych partyj ściany pod przełęczą (1½ godz.). Spostrzegamy tu potężny, miejscami przewieszony komin, 30 m na l. odeń wąski, pionowy kominek, a 10 m na l. od kominka wybitną depresję o ciemnych skałach. Omówiony wąski kominek wyznacza główny kierunek drogi, natomiast wstęp na skały znajduje się w linji spodku depresji.

Po przekroczeniu szczeliny między śniegiem a skałą, krótkim kominkiem, spadającym od depresji, wgórę, a następnie w l. i po płytach do depresji. 25 m od wejścia w skały — w pr. na kilkumetrową ściankę (b. trudno, hak) i na grzędę między depresją a pionowym kominkiem. Grzędą kilka m, a następnie kominkiem[2]) ok. 30 m do miejsca, w którem z pr. strony kominka wyrasta wybitne żebro. Teraz kilkanaście m zacięciem tuż na pr. od ostrza żebra, następnie zaś trawers w l. popod białemi skałami nieco wgórę na żebro i nieco wdół zpowrotem do komina, tworzącego tu przewieszki, przez które ciągle zapieraniem 25 m wgórę (najtrudniejszy fragment drogi; od wstępu 3 godz.).

Teraz — już ponad prawie pionową dolną częścią ściany — w pr. na grzędę pomiędzy kominem a żlebem, stanowiącym przedłużenie mokrego komina, i grzędą tą, poczem l. ścianką żlebu, w dość trudnej wspinaczce na łatwy, skalisto-trawiasty teren, którym dowolnie w dotychczasowym kierunku na przełęcz (1 godz.).

Droga b. trudna, eksponowana i interesująca. Czas jej przejścia 4 godz. S. Groński

WOŁOWA TURNIA. I. wejście pd.-zach. ścianą. Podpisany z J. Staszlem, dnia 9 sierpnia 1931 r.

Od wierzchołka Wołowej Turni wysuwa się ku pd. boczna grań, która niebawem rozdziela się na dwa, w postaci żeber opadające, ramiona: pd. i pd.-zach. Między owemi żebrami wznosi się potężne, lite urwisko pd.-zach. ściany. Lewą jej część przecina wybitna, b. długa rysa, spadająca od maleńkiej szczerby w pd.-zach. żebrze.

Od Żabiego Stawu Mięguszowieckiego Wyżniego po złomach, rumowiskach,

---

[1]) I. wejścia na Djablowinę jej zach. ścianą dokonali A. Grósz, Gy. Lingsch i F. Somló, dnia 21 czerwca 1924 r., wszakże drogą — por. II. węg. wyd. Przew. Gy. Komarnickiego z 1926 r., str. 444 — w znacznej części odmienną od opisanej.

[2]) Do kominka tego można dojść również w następujący sposób: Od wstępu na głównej drodze — w l. krawędzią śniegu lub szczeliną. Szczelina staje się coraz głębsza i pod mokrym kominem dosięga 30 m głęb. Szczeliną tą aż do miejsca, gdzie podchodzi najwyżej, poczem na skały i trawersem przez wodospad, spadający ze wspomnianego mokrego komina. Po kilku m trawersu zacięciem wgórę, poza obręb szczeliny. Teraz prawie pionowo po skałach w pr. i do kominka, w miejscu, w którem wchodzi weń główna droga. Warjant nadzwyczaj trudny i, jako umożliwiający zwiedzenie szczeliny wyjątkowo głębokiej, nader interesujący, przyczem — w razie zasypania szczeliny śniegiem — mogący stanowić nawet pewne ułatwienie właściwej drogi. (I. prz.: S. Groński, dnia 25 lipca 1930 r.).

trawkach i skałkach, wgórę ku pn., w kierunku wąskiego, piarżysto-skalistego żlebku, ciągnącego się tuż na l. od pd.-zach., a u stóp zach. ściany Wołowej Turni. Niedochodząc do jego wylotu wskos w pr. przez przegradzane płytowemi skałami trawniki, a wkońcu rysami i pęknięciami w urwistych skałach, wprost wgórę (miejscami dość trudno), na wygodny, wskos w pr. ku górze podnoszący się zachodzik, ponad którym wznosi się dopiero właściwe urwisko pd.-zach ściany (kopczyk).

(Do tego miejsca urwiska można dotrzeć łatwiej ale dalej, obszedłszy urwiste skałki poniżej opisanego wyżej zachodziku, całkiem z pr. strony. Przekroczywszy potem w l. dolne urwisko pd. żebra, zpomocą owego zachodziku, nieco wdół do wejścia na ścianę).

Wspomnianą na początku opisu, wybitną, b. długą rysą (lub skałami na pr. od niej) kilkadziesiąt m wprost wgórę, poczem przez wybitną, dachowatą przewieszkę do wygodnej nyży (kopczyk), skąd zaraz przez nową przewieszkę i wąziutką rysą do nowej nyży o piarżystem dnie. Z niej przez nową przewieszkę utworzoną z bloków, na platforemkę, ponad którą rysa, na krótkiej przestrzeni rozszerza się komin, zawalony luźnemi głazami. Nim, po kilku m na na nową piarżystą platformę (kopczyk) położoną popod olbrzymią przewieszką rysy. Tu opuszczamy tę ostatnią i wchodzimy w pr. w otwartą ścianę.

Wygodnemi stopniami 5 m w pr., poczem b. stromą ścianką wprost wgórę na wygodną platformę. Mniejwięcej z połowy jej długości, nieco podwieszoną, kilkumetrową ścianką na stopieńki ponad nią, skąd dalej wgórę z odchyleniem w pr. do krótkiej rysy i nią wprost na spory płytowy stopień, położony w kącie pod przewieszkami, w miejscu, gdzie te załamują się z płytami z pr. strony. Stąd poziomo w pr. 4 m, po gładkiej, urwistej płycie na nieco łatwiejsze skały i niemi kilka m wgórę na wygodną płaśń (Biegnie stąd w pr. system półeczek i stopni, któremi można się wydostać na pd żebro). Z niej kilkanaście m w pr. i nieco na pr. od linji, która stanowiłaby wysokość olbrzymiej płyty, zpomocą rys i pęknięć wprost wgórę 30 m pod stromą ściankę nad ową płytą i przez nią na rodzaj przerywanych półek (można niemi wydostać się w l. na pd.-zach. żebro, a w pr. na pd. żebro), skąd (kopczyk), rodzajem korytarza między odpękniętym blokiem a ścianą kilka m w l., poczem wgórę przez olbrzymie bloki kilka m do przewieszki.

Płytowym, parumetrowym gzymsem, ciągnącym się tuż pod nią, w pr. poza węgieł na platforemkę (można do niej dotrzeć wprost z wyżej opisanych, przerywanych półek, wspinając się rysą i płytowemi skałami), poczem, z l. kąta platforemki, z pomocą pęknięć i rys, kilka m wprost wgórę a potem z małem odchyleniem w l. na pd.-zach. żebro, osiągając je w miejscu, gdzie zrasta się z pd. żebrem, czyli o kilka m na l. od kulminacyjnego punktu pd.-zach. ściany. Stąd przewinąwszy się po l. stronie nieco podwieszonych bloków na ów kulminacyjny punkt ściany, skąd jeszcze kilkadziesiąt m granią na wierzchołek. (Od Żabiego Stawu Mięguszowieckiego Wyżniego ok. 5 godz.).

Droga nadzwyczaj trudna i ogromnie eksponowana, należąca do najwspanialszych przejść tatrzańskich. W. Stanisławski

KOŚCIÓŁEK. Warjant na pn.-wsch. grani. A. Czarnocka i J. Pierzchała, dnia 12 września 1933 r.

Drogą Nr. 670 Przew. J. Ch. i M. Ś. do miejsca, gdzie ona, w pobliżu wierzchołka, zwraca się na wsch. jego ściankę i obchodząc sam blok szczytowy, wychodzi na pd. odeń na siodełko między obu wierzchołkami Kościołka. Teraz 2 m w pr. do małej nyży pod przewieszonymi skałami, skąd albo: 1) b. ciasnym i niemal pionowym kominkiem wprost na wierzchołek, lub też 2) od początku kominka 2 m trawers w pr. (ekspozycja) poza krawędź ścianki i po pr. jej stronie poprzez nastermane bloki wprost na wierzchołek. Warjant dość trudny, interesujący.

HRUBA TURNIA. II.[1]) wejście od pd. Podpisani, dnia 30 czerwca 1932 r.

Pd. ścianę Hrubej Turni ogranicza z pr. strony wybitny żleb, wybiegający na pd.-wsch. jej grań w miejscu, w którem zaczyna się ona stromiej spiętrzać. Nim wgórę aż do zamykającej go olbrzymiej nyży, utworzonej z zaklinowanych bloków. Poprzez okno między blokami a ścianą do dalszej części żlebu, którym na grań, poczem drogą Nr. 726 Przew. J. Ch. i M. Ś. na wierzchołek (1 godz.) Droga częściowo dość trudna, wcale oryginalna.

M. Kozik A. Uznański

---

[1]) O ile opisana poniżej droga pokrywa się, wzgl. różni, od I. wejścia na Hrubą Turnię od pd. (J. Franaszek, J. Jędrzejowski i W. Reymann, w sierpniu 1927 r.; p. «Taternik» z 1928, str. 73) — nieda się ustalić.



ŻÓŁTA ŚCIANA ZE ŚCIEŻKI
W DOL. ZIMNEJ WODY
rys. wg. fotografji i szkiców z natury
Z. Korosadowicz

ŻÓŁTA ŚCIANA. I. wejście pn. ścianą. Podpisany, z J. Staszlem, dnia 19 lipca 1933 r.

W trójkąt pn. (ściślej: pn.-pn.-wsch.) ściany Żółtej Ściany wcina się rodzaj płytkiej depresji, biegnącej skośnie od punktu leżącego u podstawy ściany mniejwięcej w linji spadku wierzchołka, aż ku nieznacznemu wcięciu we wsch. (ściślej: wsch.-pn.-wsch.) krawędzi Żółtej Ściany. Depresja ta wyznacza zasadniczy kierunek naszej drogi. Wejście w ścianę ok. 20 m na l. i poniżej miejsca, gdzie piargi i trawki najwyżej pod ścianę podchodzą (kopczyk). Płytką rysą z odchyleniem w l. 30 m wgórę do miejsca, gdzie staje się ona całkiem pionowa, a nawet przewieszona. Teraz albo dnem rysy (b. trudno), albo po jej l. stronie, na trawiastą platformę, skąd krótkiem zacięciem w tym samym kierunku po dość dobrze uwarstwionych skałach ku zdala widocznemu, odpękniętemu od ściany blokowi. Kilka m poniżej niego przez płytę w l. do szerokiego zacięcia i niem na występ, tworzący wygodną platformę (kopczyk). Stąd wygodną półką skośnie w l. do podnóża rysy, utworzonej z załamania się płyt. 12 m rysą wgórę (nadzwyczaj trudno), poczem — nie dochodząc do nyży, ponad którą rysa przewiesza się — w l. na b. strome płyty i niemi ok. 15 m skośnie w l. (b. trudno; przed ich końcem we wnęce bilety), poczem krótką ścianką na wielkie stopnie. Niemi w l. do szerokiej rynny, którą wprost wgórę na wsch. krawędź Żółtej Ściany i nią[1]) na wierzchołek (2 godz.).

[1]) Krawędź tę — będącą rodzajem żebra, urwistego ku pn., wszakże łączącego się niejednokrotnie (zapomocą dość połogich i łatwych półek trawiastych) ze żlebem omówionym w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod Nr. 967 — przeszli pierwsi — w całej jej długości — M. Skotnicówna, K. Kupczyk i J. A. Szczepański, dnia 11 sierpnia 1929 r. Tworzy ona na swem ostrzu trzy uskoki, z których dolny można łatwo obejść po l. stronie, środkowy wziąć dość trudno wprost, a górny przebyć bądź — b. trudno — na ostrzu, bądź nieznacznem trudnem obejściem po l. stronie. Ku końcowi wywodzi na najbliższy ząb wierzchołkowy nieco trudna rynna. Droga trudna i miła (od schroniska im. Téry'ego ³/₄ godz.), jednak bez znaczenia.

D r o g a n a d z w y c z a j t r u d n a i p i ę k n a. W dolnych partjach ściany krucha skała. Z. Korosadowicz

CZARNY SZCZYT. I. w e j ś c i e p d. - w s c h. ś c i a n ą. Podpisani, dnia 29 sierpnia 1929 r.

Kulminacyjnym punktem pd.-wsch. ściany Czarnego Szczytu jest niepozorna turniczka, położona bezpośrednio na pn.-wsch. od wierzchołka Czarnego Szczytu, który jest nieco wtył cofnięty i, od litego pd.-wsch. urwiska, oddzielony żlebem, zwiedzanym drogą Nr. 1138 Przew. J. Ch. i M. Ś. (por. również rys. w tym Przew., tom IV. str. 74).

W linji spadku wierzchołka (a nie kulminacyjnego punktu ściany) o ok 50—70 m ponad piargami zachodu (którym wiedzie droga Nr. 1135 cyt. Przew.), widnieje niewielka biała plama po oberwanych skałach. Wstęp na ścianę, u stóp dwu wybitniejszych, żeberkiem rozdzielonych rys (czy zacięć), które wyżej opisaną białą plamę omijają z pr. strony. Którąkolwiek z tych rys, wkońcu jednak pr., wprost wgórę pod przewieszki. Stąd kilka m pr. ścianką pr. rysy na biegnącą w l. wąską półeczką. Nią kilka m w l. zpowrotem do rysy, którą nieco wgórę i zaraz dalej wskos w l. przez stopnie skalne na platformę położoną niewiele poniżej na wstępie opisanej białej plamy. Z platformy w pr. na dno wielkiego zacięcia, ciągnącego się wgórę w przedłużeniu dolnych rys ściany. Dnem zacięcia ok. 20 m, pod koniec przez wybitną lecz niską przewieszkę, poczem l. ścianką zacięcia dalszych 15 m do stopnia. Z niego w pr. do kominka, który zaczyna się powyżej przewieszek nakrywającychod góry owo wielkie zacięcie. Kominkiem, a potem którąkolwiek z dwu rys, w jakie się przekształca, do nyży, gdzie przewieszki zamykają drogę. Stąd przez ściankę z l. strony na trawiastą platformę, poczem wprost wgórę małem lecz wyraźnem żeberkiem do wysokości podłużnego tarasiku z pr. strony — i krokiem przez szczelinę między żeberkiem a owym tarasikiem, na ten ostatni. Stąd ok. 12 poziomo w pr. nad brzeg olbrzymiego zacięcia w ścianie. L. żeberkiem tego zacięcia wgórę na stopień, z którego lawirując urwistą ścianką, z odchyleniem w l. na łatwiejszy teren. Nim niebawem do miejsca, gdzie orjentujemy się, iż ściana poczyna się zwężać w rodzaj płytowego żebra, zmierzającego wprost ku turniczce, w której kulminuje urwisko. Stąd albo w l. do żlebu, którym wiedzie droga Nr. 1138, albo owem żebrem: przez płyty pod nakrywające je przewieszki i tuż pod niemi, zpomocą pęknięcia, w pr. parę m, poczem wprost wgórę na taras. Stąd l. częścią szerokiej, płytowej ścianki na bloki ponad nią. W dalszym ciągu silnie zwężającą się krawędzią żebra — na ową, kilkakrotnie już wspomnianą turniczkę, w której kulminuje ściana. Zwróciwszy się z niej w l. po kilku m stajemy na szczycie ($2^1/_2$—3 godz.).

D r o g a b. e k s p o n o w a n a i t r u d n a, p i ę k n a i w i o d ą c a l i t ą s k a ł ą.
B. Chwaściński W. Stanisławski

Z TATR

Sezon letni 1933 r.

To sprawozdanie należy zacząć od powołania się na uwagi, napisane z okazji ub. sezonu (w «Taterniku» z 1932 r., str. 93): rychło — zbyt rychło — potwierdził się, podkreślony tam fakt wyczerpania się problemów tatrzańskich. Wyniki ostatniego sezonu wykazały dowodnie, że w Tatrach jest jeszcze do przejścia wiele niezwiedzonych zaułków i zakamarków górskich, ale że wśród nich nieliczna tylko garść dziewiczych jeszcze u r w i s k. Epoka taternictwa odkrywczego, jako najważniejszego momentu w czynnem taternictwie — dobiega swego kresu: z tem musimy się bezapelacyjnie pogodzić. Szczegóły i szczególiki pozostaną jeszcze na długo: ale coraz bardziej będą się stawać celem sportowo podrzędnym i ubocznym.

To jeden ważny wniosek z wyników omawianego sezonu. Drugim jest równoczesne stwierdzenie dość znacznego osłabienia żywości i rozmachu ruchu taternickiego. Można je częściowo tłumaczyć niekorzystną pogodą, zbiegiem okoliczności ubocznych (służba wojskowa b. wielu taterników) i t. p. — ale te przyczyny nie objaśnią jeszcze dostatecznie, czemu przebywano tak niewiele — stosunkowo — dróg w wielkim stylu. Zaczynamy też stwierdzać zmniejszanie się dopływu świeżych sił. Oczywiście, na podstawie obserwacyj jednego sezonu jakikolwiek wniosek o charakterze sądu byłby przedwczesny. Nie chcemy jednak uniknąć pewnych ostrzeżeń.

Spośród ostatnich sezonów taternickich nie było tak słabego jak omawiany — to prawda. Ale nie należy z tego powodu przeoczyć, że jednak sezon ten jakiby był — w ujęciu oderwanem od postępu w czasie zwycięsko wytrzymuje porównanie z każdym np. sezonem przedwojennego taternictwa. Świadczą o tem zarówno jego pierwsze przejścia (np. pd.-zach. ścianą Siarkana, pn.-zach. ścianą Niżnich

Rysów, pn. ścianą Żółtej Ściany, pn. ścianą Małej Kapałkowej Turni i pd.-zach. ścianą Wielkiej Śnieżnej Turni) — jak i nowe drogi (m. i. na zach. ścianie Hrubego Wierchu, wsch. ścianie Zadniej Baszty i pn.-zach. ścianie Śnieżnego Szczytu) — jak i najważniejsze powtórzenia (paru najtrudniejszych wspinaczek w otoczeniu Hali Gąsienicowej, II. prz. pn.-wsch. ściany Mnicha, II. prz. uskoków Wsch. Szczytu Żelaznych Wrót i Spągi, III. prz. pn.-zach. ściany Niżniej Wysokiej Gierlachowskiej, obu dróg zach. ścianą Łomnicy, i i.). Świadczą o tem również jego — daleko w teren zaawansowane — próby, z których atakowanie właściwych ścian: pd. Batyżowieckiego Szczytu, pn.-wsch. Męguszowieckiego Szczytu nad Czarnym, wsch. Mnicha i pd. Czeskiej Turni — jest w każdym razie dowodem bezwzględnej pewności siebie i maksymalnej sprawności skalnej współczesnych taterników.

Tym polskim sukcesom i próbom nie mogą nasi sąsiedzi z pd. przeciwstawić żadnego równorzędnego wyniku. Parę nowych dróg i kilka średniej miary powtórzeń — ich całkowita zdobycz tegoroczna — wydają się być stałą miarą sukcesów sezonu południa tatrzańskiego.

Osobny ustęp należy się pogodzie omawianego lata. Najpierw była zima wiosenna, aż do dnia 10 lipca: śniegi schodziły wówczas niejednokrotnie do regli (dnia 4 czerwca śnieg padał nawet w Zakopanem), a jakie warunki panowały we właściwych górach, najlepiej obrazują dwie zapiski czujnej zawsze na aktualne sprawy Tatr, kiezmarskiej «Karpathen-Post» (nr. z dnia 17 czerwca): «Am 4 Juni vollführten Ing. Josef Bethlenfalvy mit Inez Kesselbauer, Ing. Gustav Maurer und Matthias Nitsch die vierte Winterersteigung der Rotseespitze... Am 12 Juni vollführten Ludwig Karl Horn... und Franz Bányász... eine Winterbesteigung der Eistaler Spitze». Tak samo dr. K. Henschówna i G. Kalliwoda jeszcze w dniu 29 czerwca mogły wejść na nartach na Świstowy Szczyt. Dowodem nienormalnych warunków, jakie owem wczesnem latem w Tatrach panowały, była wreszcie olbrzymia lawina, która w nocy z 4 na 5 lipca zeszła z Miedzianego aż nad Morskie Oko, niszcząc w dwu miejscach ścieżkę i miażdżąc dwie krowy, które znalazły się na jej szlaku.

Potem przez niespełna sześć tygodni trwało upalne lato, obfitujące zresztą w liczne lecz krótkotrwałe deszcze. A później nastąpiła, z dniem 18 sierpnia, zima jesienna, dnia 18 września śnieg zeszedł do samego Zakopanego. W ostatniej dekadzie września powróciły wprawdzie nagle dni gorące — i ciepła, pogodna jesień przesunęła się daleko w głąb października, ale taternickiej działalności już o tym czasie nie uprawiano.

Wypadek na Hawraniu.

Żona znanego działacza turystycznego, prof. uniw. w Pradze d-ra R. Kettnera, uległa na stokach Hawrania w dniu 25 lipca ub. r. śmiertelnemu wypadkowi, pośliznąwszy się na zboczu trawiastem i spadłszy ok. 40 m.

Wypadek na Przełęczy pod Chłopkiem.

W dniu 26 sierpnia ub. r., zbłądziwszy w zejściu z Przełęczy pod Chłopkiem na pn. stronę, uległ wypadkowi Wacław Starosłęcki, sędzia z Będzina. Pomocy udzieliła mu zaimprowizowana wyprawa, złożona z B. Chwaścińskiego, inż. R. Grabowskiego, d-ra W. Łaby, Z. Malickiego i W. Ostrowskiego. Akcja ratunkowa — w terenie zresztą dość trudnym, gdyż Starosłęcki zeszedł wprost pn. żlebem przełęczy aż ponad jego kominowe zerwy (por. opis tej drogi w bież. zesz. «Taternika», str. 29 — była ponadto utrudniona nadzwyczaj ciężkiemi warunkami pogodowemi. Ekspedycja zmuszona też była biwakować na śniegu i mrozie, poczem nazajutrz dopiero wyratowała z opresji potłuczonego turystę.

SPRAWY SEKCJI

Zebranie towarzyskie. W dniu 4 listopada ub. r. wygłosił J. A. Szczepański w lokalu Sekcji referat p. t. «Taternictwo 1910—1932. Próba bilansu» (referat ten ma być ogłoszony drukiem). Następnie odbyła się herbatka towarzyska, na której obecni pożegnali również dra J. K. Dorawskiego, wyjeżdżającego w Andy.

Nowi członkowie i zgłoszenia członków. Pp. Zdzisław Dąbrowski (Warszawa) i Alfred Szczepański (Kraków) zostali przyjęci w poczet członków Sekcji. — Podanie o przyjęcie na członka wpłynęło od p. Józefa Orenburga (Warszawa).

Z SEKCJI ALPEJSKIEJ K. S. P. W GRENOBLE

Aktywność Sekcji Alpejskiej Koła Studentów Polaków w niczem nie ustępowała w 1933 r. jej rozwojowi w latach poprzednich. W zakresie ogólnej działalności górskiej, gdzie poziom wyczynów z natury rzeczy musi być na niższym poziomie, możemy jednak stwierdzić udział w niej całych grup, zaś poziom wyczynów

indywidualnych przewyższył wszelkie oczekiwania, tem więcej, że brali w nich udział członkowie, którzy, można powiedzieć, przedtem wysokich gór nie znali. Po raz pierwszy cała polska działalność alpejska oparła się na Sekcji Alpejskiej i trzeba przyznać, że ta, tak młoda jeszcze organizacja, wywiązała się pięknie ze swego zadania. Główne momenty jej działalności przedstawiają się następująco:

Urządzono jedenaście wycieczek grupowych, w których wzięło udział razem około 60 osób. Pomiędzy dniem 26 grudnia a dniem 2 stycznia urządzono 8-dniowy kurs narciarski pod kierunkiem ś. p. por. Kułakowskiego z ambasady polskiej w Paryżu. Kurs ten odbył się w Roche Beranger, a wzięło w nim udział 10 osob. Dnia 5 marca urządzono przy okazji zawodów Sekcji Izery CAF pierwsze polskie zawody narciarskie na terenie Francji w Recoin. Zawody te wygrał p. Filip Torosiewicz, zdobywając te msamem nagrodę konsula polskiego w Lyonie, p. Karczewskiego. Torosiewicz zajął jednocześnie 5 miejsce w zawodach francuskich, mimo konkurencji najlepszych narciarzy francuskich. W dniu wręczania nagród urządzono święto Sekcji, na które przybyli: konsul Karczewski oraz p. Lory, prezes Sekcji Izery CAF, z którą SA utrzymuje stały kontakt.

Sekcja powiększała też stale ekwipunek górski i narciarski, wypożyczany jej członkom. Ekwipunek ten obejmuje nietylko rzeczy podstawowe, jak namiot, śpiwory, narty, kije, czekany, ale nawet drobiazgi w rodzaju baniek na denaturat, latarki i t. p.

Jeśli chodzi o działalność indywidualną, mamy do zanotowania chronologicznie: W marcu trzy odczyty o Tatrach (z przeźroczami PTT), z których dwa po francusku w Lyonie i St. Etienne. Odczyty te były organizowane przez miejscowe Sekcje CAF, a wygłaszane przez J. Golcza.

W kwietniu ma miejsce wyprawa J. Golcza i W. Wyszyńskiego w Pelvoux (por. «Taternika» z 1933 r., str. 79). W lecie podtrzymuje alpinistyczną działalność polską W. Wyszyński, który w okresie od dnia 17 lipca do 12 sierpnia w swej intensywnej aktywności przechodzi wraz z Perkowskim 10 przełęczy i robi 10 szczytów w masywie Pelvoux (por. «Taternika» z 1933 r., str. 130—131).

Przed zamknięciem swej rocznej działatności SA wzięła jeszcze udział przez osoby swoich oficjalnych przedstawicieli, pp. Golcza i Michałowskiego, w uroczystym obchodzie zdobycia Mont Aiguille, pierwszego czynu alpinistycznego, dokonanego jeszcze w 1496 r. W tem miejscu chcemy złożyć podziękowanie Sekcji Izery CAF, a specjalnie jej prezesowi p. Lory, nietylko za serdeczne przyjęcie, jakiego doznali przedstawiciele SA na obchodzie, ale przedewszystkiem za pomoc i więcej niż ojcowską opiekę, jakiej nie szczędził jej członkom wogóle, a specjalnie w czasie dwóch wypadków, narciarskiego i górskiego, jakie jej członków spotkały. P. Lory np. po wypadku J. Golcza przyjechał natychmiast do La Bérarde i osobiście kierował akcją ratunkową i przewiezieniem tego alpinisty do kliniki w Grenoble.

Kierownikiem SA był p. Jerzy Golcz. Delegatem zarządu Koła Studentów Polaków w Grenoble p. Janusz Brzeziński.

KARTA ŻAŁOBNA

† **Tytus Chałubiński jr.** W dniu 25 czerwca 1933 r. zmarł w szpitalu zakopiańskim 19-letni Tytus Chałubiński, absolwent gimnazjalny, syn Ludwika a wnuk Tytusa Chałubińskiego. Uprawiając z tradycyjnym w jego rodzinie zapałem turystykę górską, młody Tytus Chałubiński w ciągu dwu ostatnich lat przebył niejedną piękną drogę w Tatrach Polskich. I wycieczka górska stała się też powodem jego przedwczesnej śmierci: w dniu 24 czerwca b. r., wybrawszy się z kolegą na wsch. grań Niebieskiej Turni, obsunął się po śniegu pn. żlebu Niebieskiej Przełęczy ok. 200 m, doznając śmiertelnych obrażeń.

† **Francesco Gonella,** znakomity alpinista włoski, oraz działacz CAI. Już w 1885 r. dokonał on I. w. na Aiguille du Triolet, rok później I. w. od pn. na Tour Ronde, w 1889 r. I. w. na Mont Blanc przez Aiguilles Grises. W 1897 r. brał udział w wyprawie alaskańskiej Księcia Abruzzów. Zmarł w dniu 18 kwietnia 1933 r., przeżywszy lat 77.

† **Rudolf Rolfes.** Dnia 16 kwietnia ub. roku zginął na Thurwieserspitze, skutkiem pęknięcia przekraczanego nawisu i wywołanego tem upadku turysty, 28-letni inż. R. Rolfes z Berlina, doświadczony alpinista, mający ze sobą takie wyprawy jak wsch. ścianami Watzmanna i Monte Rosa, granią Péteret na Mont Blanc, oraz I. w. pd.-zach. ścianą na Bischofsmütze.

† **Celso Gilberti.** W dniu 11 czerwca 1933 r. zginął, wraz z A. Pedrinim, przy próbie powtórzenia środka wsch. ściany Paganella w Dolomitach Brenta — jeden z najwybitniejszych alpinistów włoskich młodego pokolenia, 23-letni C. Gilberti,

zdobywca 46 nowych dróg w Alpach Wschodnich, m. i. (w 1931 r.) środka pn. ściany Mangartu w Alpach Julijskich. Na cześć jego towarzysza Pedrini'ego nazwali jego przyjaciele N. Bianchini, B. Detassis, N. Mantovani i M. Pilatti, zdobytą wkrótce przez siebie dziewiczą turnię w Dolomitach — mianem *Campaniletto Pedrini*.

Wypadek na Marmolacie. Jedna z trzech podobno najtrudniejszych (por. «Taternika» z 1933 r., str. 88) dróg skalnych w Alpach Wschodnich — droga pd. filarem Marmolaty (por. «Taternika» z 1932 r., str. 101) — stała się już przy próbie II. prz., podjętego w dniach 27—28 sierpnia 1933 r. przez dwóch młodych niemieckich wspinaczy, R. Rümmelego i W. Wirmelina, widownią śmiertelnego wypadku. Turyści ci przeszli już niemal całą drogę, aż utknęli, kilka długości liny pod wierzchołkiem, na olodzeniu przewieszki, pokonywanej kunsztownemi manipulacjami liną. Zmuszeni więc zostali do odwrotu, w czasie którego, już niezbyt wysoko ponad wejściem w ścianę, wyrwał się hak, na którym zjeżdżał Rümmele. 70-metrowy upadek przyprawił go o śmierć. W zmarłym Rümmele (ur. w 1913 r.!) mieli alpiniści niemieccy dzielnego przedstawiciela najmłodszej awangardy wspinackiej; dobrze świadczą o tem jego poprzednio przebyte drogi np. pd. ścianą Drusenfluh, III. prz. pn. ściany Pala di San Martino (por. «Taternika» z 1931 r., str. 103), IV. prz. środkiem wsch. ściany Rosengartenspitze (por. «Taternika» z 1932 r., str. 32), IV. prz. wsch. ściany Sass Maor (por. «Taternika» z 1931 r., str. 103), I. prz. pd. ściany Frauenturm i i.

Wypadki na Meije. W sez. letnim 1933 r. dwukrotnie była znów La Meije widownią śmiertelnego wypadku: przy próbie jej trawersowania od strony Promontoire zginął na niej alpinista francuski Georges Blanc, przy próbie podjętej od l'Aigle alpinista angielski R. Verschoyle.

Wypadek na Mont Blanc. W dniu 21 sierpnia ub. r. siedmiu alpinistów włoskich, którzy właśnie szybko pokonali Grań Péteret, zaskoczyła burza na szerokiej i łatwej grani Mont Blanc de Courmayeur. Iść naprzód bylo niepodobieństwem — trzy doby musieli alpiniści przetrzymać w wykopanej przez siebie jamie w śniegu. Na czwarty dzień dwu z nich znalazło jeszcze tyle siły, aby dowlec się do schr. Vallot i zaalarmować o pomoc. Biorąc udział w tej akcji, alpiniści ci zmarli następnie z wyczerpania i odmrożeń. Nazwiska ich: Luigi Capo i Hannibal Cuschera. — Ich pięciu kolegów ocaliło życie, ale kosztem okrutnych amputacyj.

KRONIKA ALPINISTYCZNA

Największą zdobyczą alpinizmu egzotycznego w 1932 r. stała się niewątpliwie eksploracja masywu Minya Konka, najwyższego w imperjum chińskiem, wznoszącego się w pasmie Niarong w prowincji Szeszuan w pobliżu granicy tybetańskiej. Górę tę zaatakowała 4-osobowa (R. Burdsell, A. Emmons, T. Moore i J. Young) ekspedycja American Alpine Club'u. W dniu 19 września 1932 r. rozpoczęła ekspedycja systematyczne forsowanie góry, przez zakładanie coraz wyższych obozów. Z piątego, najwyższego z nich, rozpiętego na wys. 6400 m, osiągnęli w dniu 28 października Terris Moore i R. Burdsell główny wierzchołek Minya Konka, wys. na 7725 m. Warunki pogodowe były korzystne, znaczniejszych trudności nie napotkano. Ze zdobyciem Minya Konka uległ ekspansji człowieka trzynasty z rzędu szczyt siedmiotysięczny, a drugi pod względem wysokości (po himalajskim Kamecie 7756 m).

Niemcy w Lazistanie w 1933 r. W lipcu i sierpniu ub. r. działały w górach tego kraju (por. «Taternika» z 1933 r., str. 86) aż dwie niemieckie wyprawy, jedna K. Haltmana, i druga czterech akademików wiedeńskich, z F. Köberlem na czele. Jak się okazało, wyprawa niemiecka z 1931 r. nie weszła na najwyższy punkt masywu, główny wierzchołek Kawron Daghu 3820 m, lecz tylko na jego niższy wierzchołek. Dopiero obecnie Köberle i tow. stanęli na tem najwyższem wzniesieniu całych gór Pontyjskich, prócz tego uzyskując czternaście innych pierwszych wejść.

Nowe narody w alpinizmie egzotycznym. W ub. roku aż trzy narody europejskie podjęły po raz pierwszy w swej historji alpinistyczno-naukowej, eksplorację wysokogórską gór egzotycznych. W dalekie Andy wyruszyła z końcem roku ekspedycja polska, zaś w lecie działały na Kaukazie ekspedycja francuska oraz ekspedycja szwajcarska. Obie te wyprawy wróciły już do swoich krajów, przywożąc z sobą dość piękne sukcesy, o których jeszcze podamy dokładniejsze relacje. Nawiasem mówiąc, aktywność alpinizmu egzotycznego w 1933 r., pomimo nieobecności Niemców i wciąż postępującego światowego kryzysu gospodarczego, bynajmniej nie osłabła. Prócz ekspedycyj już wymienionych, wybitnie działali Włosi w górach północnej Persji, oraz Rosjanie w górach Swanetji. Anglicy zaś oprócz

wyprawy na Everest, podjęli również eksplorację Himalajów Garhwalu (M. Pallis i trzej towarzysze).

Andy pogranicza argentyno-chilijskiego na pd.-zach. od miasta Zapala, zwiedzał w styczniu i lutym ub. r. podróżnik angielski, E. de la Motte. Najlepszym jego sukcesem stało się I. wejście na szczyt Lanin (dnia 9 lutego), na którym w 1925 r. zginął alpinista niemiecki z Chile, Erckert.

Aktywność współczesnego alpinizmu. Podajemy kilka charakterystycznych pozycyj. wykazujących na jak niezwykle wysokim poziomie sportowym stoją dziś przeciętne niemal wyprawy alpinistyczne. W sezonie letnim 1933 r. zwiedzono: Col du Diable w Pelvoux trzy razy, Pelvoux z lodowca Noir dwa razy, Meije (trawersowanie) kilkanaście razy, Grépon wprost od Mer de Glace kilkanaście razy, Dru (trawersowanie) piętnaście razy, Grań Brenva dwanaście razy, Grań Péteret parokrotnie, zarówno w wejściu jak i w zejściu, nawet północną ścianę Grands Charmoz przebyto dwa razy. Jeżeli zaś chodzi o Alpy Wschodnie — to tam nie było ani jednego dnia pogodnego, w którymby nie robiono kilku lub kilkunastu różnych nadzwyczaj a nawet i skrajnie trudnych, osławionych wspinaczek.

Północną ścianę Grandes Jorasses atakowało i w sez. letnim 1933 r. kilka partyj, m. i. (z końcem lipca) dr M. Couturier z A. Bozon'em, A. Charlet'em i J. Simond'em. Najwyżej, gdyż ok. 500 m, dotarli w ścianie (z początkiem sierpnia) G. Gervasutti i P. Zanetti; ale lawiny kamienne, oraz niepogoda, i ich zmusiły do odwrotu. Pomimo wszystko wydaje się, że i ten bezsprzecznie największy dziś problem w Alpach, niedługo już będzie czekał na rozwiązanie.

Alpinizm włoski przoduje dziś światu w rekordach wspinaczek skalnych. Włosi mają dziś w swym dorobku najbardziej niesamowite zdobycze akrobacji alpinistycznej, by wymienić choćby pn. ścianę Grosse Zinne (por. «Taternika» z 1933 r., str. 130). Z ich bogatego dorobku alpejskiego z 1933 r. należy pozatem wyliczyć: I. w. środkiem pn. ściany na Aiguille de Trélatete (G. Gaia, F. Ravelli i G. A. Rivetti z A, Chenoz'em, dnia 19 sierpnia); I. w. pd.-wsch. krawędzią na Kleine Zinne (Mary Varale, E. Comici i R. Zanutti, dnia 8 września): I. w. niebywale trudną, częściowo przewieszoną i niezmiernie niebezpieczną (150 m wspinaczki musiano odbyć bez żadnej asekuracji), pn.-wsch. krawędzią na Campanile Basso (rodzeństwo Giorgio i Rita Graffer, dnia 24 sierpnia); I. w. środkiem pn. ściany na Punta Gnifetti (M. Magliola i G. Mosca z C. Pironim i Z. Zurbriggenem, dnia 23 lipca): II. prz. pd. grani Aiguille Noire de Péteret, uznane pomimo świetnych pod każdym względem warunków za najlepszy sukces włoskiego alpinizmu bezprzewodnikowego (G. Gervasutti i P. Zanetti, w dniach 2—3 sierpnia); I. w. pd. ścianą (przy użyciu 30 haków) na Torre Venezia w Civetta (Tissi, Andrich i Bortoli); i i. Pozatem liczna grupa alpinistów włoskich (jak D. d'Armi, V. Franchi, A. Giancola, B. Marsilli, E. Tomassi i i.) z *Sezione dell'Aquila del CAI* dokonała szeregu wybitnie trudnych wejść w Apeninach, w grupie Gran Sasso d'Italia 2914 m.

Alpiniści francuscy w Alpach ograniczyli się w sez. letnim 1933 r. jak zwykle do własnego terenu. Ale odnieśli tu cały szereg pierwszorzędnych sukcesów, jak np.: I. w. pn. ścianą na Aiguille Blanche de Péteret (R. Chabot i L. Grivel, dnia 3 września), I. w. pd.-zach. ścianą na zach. wierzchołek Ailefroide (M. Bost i J. Charignon, dnia 16 sierpnia), I. w. zach. ścianą na Pic Lory (M. Fourastier i M. Laloue, dnia 29 lipca; problem ten zamierzali atakować również alpiniści polscy w 1931 r.), I. prz. Col de la Tour des Courtes (P. Dillemann z A. Charlet'em i J. Simond'em, dnia 20 lipca), II. całkowite trawersowanie Grandes Jorasses (R. Greloz i J Grobet, dnia 6 sierpnia) i t. p.

Międzynarodowa wyprawa himalajska w 1934 r. W maju b. r. opuści Europę na ogromną skalę zamierzona międzynarodowa wyprawa w Karakoram, złożona z alpinistów i uczonych amerykańskich, angielskich, austrjackich, niemieckich, szwajcarskich i włoskich. Na czele wyprawy staje dr Günther Dyhrenfurth. Z projektowanych uczestników wymienia się dotychczas tylko szwajcarskiego historyka Himalajów, Marcela Kurza.

NOTATKI

60-lecie K-V obchodził spiski świat turystyczny w Popradzie, w dniach 5—6 sierpnia 1933 r., w nieobecności swego ciężko chorego prezesa i wodza, dra Michała Guhra, który też wkrótce potem (dnia 26 sierpnia) zmarł, ku ogromnej stracie turystyki spiskiej a zwłaszcza jej narciarstwa. Podczas uroczystości mianowano m. i. członkami honorowymi Twa, prof. dr. W. Goetla i K. Schielego. W sprawie zasług K-V dla turystyki tatrzańskiej odsyłamy zresztą czytelników do «Taternika» z 1922 r., str. 33—36, gdzie M. Świerz b. obszernie omówił 50-lecie zasług tego Twa.

Od tego czasu niewiele się zmieniło. K-V dysponuje obecnie budżetem rocznym ok. 25 tys. zł., i ma parę tysięcy członków. Pozbawione poparcia państwowego — rozwija się z trudnością, ostatnio musiało uszczuplić rozmiary jedynej swojej publikacji, miesięcznika «Turistik, Alpinismus, Wintersport». Posiada też dziś tylko kilka schronisk. Pozatem jest obecnie K-V głównym heroldem hasła dalszego zagospodarowywania Tatr, w myśl poglądów dra Guhra i Gy. A. Hefty'ego. Prezesem T-wa jest obecnie dr. Mikołaj Szontagh.

70-lecie SAC. W ub. roku obchodziła uroczystość 70 lat istnienia potężna organizacja Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego, założonego w kwietniu 1863 r. w Olten przez 36 turystów górskich, a z inicjatywy prof. geologji w Bernie, dra R. T. Simmlera. Z drobnego zwiazku szybko rozwinęło się towarzystwo w silną organizację, która dziś skupia przeszło 40 tysięcy członków, rozsypanych w 84 sekcjach, dysponuje 124-ma schroniskami, wspaniałą bibljoteką i t. p. Towarzystwo wydaje też piękną trójjęzyczną publikację miesięczną p. n. «Die Alpen — Les Alpes — Gli Alpi».

IV Międzynarodowy Kongres Alpinistyczny odbył się w Cortina d'Ampezzo, w dniach 10—13 września 1933 r., przy nieobecności największego T-wa górskiego na świecie, D. u. Oe. A.-V. Alpinizm polski reprezentowali inż. A. Bobkowski, prof. dr. W. Goetel, prez. S. Osiecki i mjr. B. Romaniszyn. Na kongresie uchwalono statut Unji Alpinistycznej, za której założycieli uznano sześć towarzystw turystyki górskiej: AC, CAF, SAC, ST, PTT i MTE. Z prac i uchwał kongresu może alpinistów zainteresować najbardziej postulat międzynarodowych zniżek w schroniskach na zasadzie wzajemności, i t. p. wnioski praktycznej turystyki. Zwróciła naszą uwagę obecność na kongresie osobnych reprezentantów Klubu Československych Alpistů oraz Jamesu, przy nieobecności przedstawiciela STPTT. Prace kongresu podzielone były na cztery sekcje (alpinizmu, turystyki alpejskiej, wiedzy górskiej, i sztuki górskiej), na których wygłoszono 86 referatów, z czego 54 włoskich. Pomiędzy pozostałymi znalazł się również jeden referat polski (W. Goetla *Parki narodowe w górach polskich*), na kongresie w Chamonix (por. «Taternika» z 1932 r., str. 84 - 85) było ich trzynaście. Cały plon prac kongresu ma być ogłoszony drukiem.

Sensacyjne odkrycie geograficzne. Jak donoszą alpinistyczne pisma niemieckie, dr. Lange Koch, znany badacz Grenlandji, odkrył w głębi tego olbrzymiego lądu, nowe, nieznane pasmo górskie, sięgające 4800 m wys. Dr. Koch nazwał je Górami Misterjów (Mysterien-Berge).

Hindusi i Everest. M. G. D. Yoshi, rodowity Hindus, założył obecnie w Kalkucie osobny klub hinduski, którego członkowie, aklimatyzując się systematycznie na coraz większych wysokościach, w ciągu pięciu lat mają stanowczo dokonać zdobycia Everestu. A może klub ten będzie się składał z yogów, którzy samą siłą mistyczną wydostaną się na Dach Świata?

Nabożeństwo na Mont Blanc. W lipcu ub. r. pewien ksiądz z Juilly pod Paryżem po raz pierwszy odprawił mszę na samym wierzchołku Mont Blanc.

Godne pozazdroszczenia rekordy. Nasz stary przyjaciel, wybitny taternik dawnego pokolenia, Franciszek Denes, wszedł dnia 30 lipca ub. r. na wierzchołek Sławkowskiego Szczytu. Dyr. Dénes liczy obecnie lat 88. — Z Francji donoszą, że w dniu 3 sierpnia ub. r. alpinista francuski H. Brulle wszedł (z dwoma przew.) na Mont Blanc. Brulle liczy obecnie lat 81.

Na Maczugę Herkulesa w Pieskowej Skale (Jura krakowska) dokonał w lipcu b. r. pierwszego wejścia — jak podaje «IKC», na którego odpowiedzialność powtarzamy niniejszą wiadomość — młody turysta z Wełnowca (Górny Śląsk), Leon Witek. 40-metrową igłę pokonał Witek w 4 godz. nadzwyczaj trudnej wspinaczki. Zapisujemy bez ironji ten gimnastyczny wyczyn i podkreślamy, że w najpoważniejszych czasopismach alpinistycznych niejednokrotnie można znaleźć relacje z najbardziej efektownych sukcesów, uzyskanych na skałkach ćwiczebnych (t. zw. po niemiecku *Klettergarten*).

Echa wydawnicze. Gruntowny znawca Alp Graickich, abbé Henry, ogłosił świeżo książkę pt. «Cagliostro». Jest to opowiadanie o autentycznem wejściu pracowitego osła, nazwanego tak historycznie, na Gran Paradiso 4060 m. Celem tego przewodnickiego żartu było udowodnienie, że ten potężny szczyt jest naprawdę dostępny bez żadnych trudności. — W «Der Bergsteiger» z sierpnia ub. r. napisał O. E. Meyer impresję w stylu Klabunda o Henrjecie d'Angeville. Poczesne miejsce zajmuje w tem opowiadaniu spotkanie «narzeczonej Montblanc» z naszym dzielnym aptekarzem z Radomia: «Zbudzona ze snu, znów światowa dama, wita Henrjeta hrabiego i rozmawia z nim, jak wymaga uprzejmość, o jego zakutej w kajdany ojczyźnie...».

Kącik. P. A. M. Nowakowski («Zakopane w dzień słoneczny», «IKC» z dnia 30 sierpnia ub. r.) bez omyłki poznaje «taterników prawdziwych czyli t. zw. wspi-

naczy» po trampkach, noclegach u Bustryckiego, szybkim chodzie i opaleniu; p. W. R. zato («Czy zmierzch Zakopanego», «Czas» z dnia 30 sierpnia ub. r.) protestuje imieniem «publiczności taternickiej» przeciwko «ścinaniu klamer i łańcuchów» oraz «niszczeniu ścieżek górskich» gdyż byłoby to «prawdziwym skandalem»; według p. dra M. Gromskiego wreszcie («Tatry, czy cyrk?», «Kurjer Warszawski» z dnia 17 września ub. r.) «góry nie stanowią już (dla taternika) żadnej podniety do życia twórczego, ani nie są źródłem radości», współczesne zaś problemy taternickie przypominają np. «przejście na rękach od Grazu do Wiednia».

Z PIŚMIENNICTWA

CONGRÈS INTERNATIONAL D'ALPINISME Chamonix — Mont Blanc 1932. Rapports et travaux du congrès. Paris 1933, Club Alpin Français. Str. 448.

Leży przed nami — z rocznem opóźnieniem ogłoszony — gruby tom prac III Międzynarodowego Kongresu Alpinistycznego. Szukamy prac polskich (por. «Taternika» z 1930 r., str. 84—85) — są, wszystkie 13, rozsypane pomiędzy siedem działów książki, ale wyróżniające się zarówno zwięzłością opracowania jak i ograniczeniem się do spraw zasadniczych. Ukazanie się ich w publikacji francuskiej witamy jako objaw dla propagandy alpinizmu polskiego wcale korzystny. Po raz pierwszy bowiem może z nich obcy świat wysokogórski poznać takie nasze sprawy jak szczegóły organizacji górskich parków narodowych i dobrowolnej służby bezpieczeństwa w Tatrach, jak skrót historji taternictwa i literatury wysokogórskiej w Polsce i t. p. A równocześnie każdy alpinista musi się natknąć na referaty tego typu, co o muzyce górskiej, o stosunku alpinizmu współczesnego do sportu, o problemach klasyfikacji trudności i używalności sztucznych ułatwień przy wspinaczkach skalnych (tematy specjalnie pasjonujące dzisiejszych ideologów alpinizmu) — napisane przez polskich uczestników kongresu, i napisane dobrze. Dopiero na tle omawianej książki zarysowuje się wyraźnie poziom i rozpiętość zainteresowań alpinizmu polskiego. Zdziwi on zapewne wielu — przekreślić go nie będzie już sposobu.

Dodatkowo nasuwa się następująca uwaga: wszystkie (z wyjątkiem jednego) referaty opracowane zostały przez alpinistów polskich, zrzeszonych w STPTT, większość z nich nawet przez czynnych alpinistów. Na przyszłość właśnie te referaty pozostaną plonem sukcesu delegacji polskiej na zjeździe w Chamonix. Polskiemu T-wu Tatrzańskiemu nigdy nie wyszło na szkodę ścisłe współdziałanie z własną elitą wysokogórską.

ELEONORE NOLL-HASENCLEVER: Den Bergen verfallen. Alpenfahrten, Berlin 1932.

«Dnia 18 sierpnia 1925 r. porwała biała śmierć na śnieżnych stokach Weisshornu w Alpach Wallijskich najwybitniejszą alpinistkę niemiecką, Eleonorę Noll-Hasenclever. Była to alpinistka o jaknajlepszym stylu. Wyprawy swe kierowała nie ku modnym wspinaczkom skalnym, lecz ku najpotężniejszym kolosom Alp Zachodnich. O skali tych wypraw dostatecznie mówią tego rodzaju przejścia jak: Monte Rosa wsch. ścianą, Matterhorn granią Zmutt, Dent d'Herens wsch. granią i t. p. Samych szczytów, wyniesionych ponad 4000 m zwiedziła w swej karjerze alpinistycznej 150, jeśli w tej liczbie uwzględnimy i powtórzenia. Spoczęła na pamiętnym w dziejach alpinizmu cmentarzu w Zermatt, u stóp Matterhornu, na którego wierzchołku stanęła 8 razy»[1]).

Obecnie Sekcja Berlińska D. u. Oe. A-V. wydała w obszernym tomie wszystkie jej pisma alpinistyczne. Wykazują one dość wysoki poziom opisu. Na czoło wybija się opis wejścia na Bietschhorn, poświęcony wiernemu towarzyszowi alpejskich wędrówek, przewodnikowi Aleksandrowi Burgenerowi.

JULJUSZ BALICKI I STANISŁAW MAYKOWSKI: Pieśń o ziemi naszej. Piąty rok nauki języka polskiego w szkołach powszechnych. Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. 1933.

W tej ciekawej książce szkolnej, na którą składają się t. zw. «cykle» (np. «Co mówi Bałtyk», «Kochajmy Warszawę», «U naszych sąsiadów» i t. p.), wypełnione czytankami autorów podręcznika oraz pisarzy współczesnych — zamieszczony został również cykl «Wśród wierchów». Odkrywamy w nim ze zdumieniem pozycję... taternicką(!). Stanowi ją — b. popularnie ujęte, zaopatrzone licznemi objaśnieniami «terminologicznemi» i ozdobione dobrą fotografją grupy Buczynowych Turni i Orlej Baszty w widoku z Wierchu pod Fajki — opowiadanie Ferdy-

[1]) Ujęty w cudzysłów fragment tej recenzji pochodzi z drobnych rękopiśmiennych tekstów pióra Mieczysława Świerza, znajdujących się w tece «Taternika».

nanda Goetla p. t. «W Buczynowej Turni». Łatwo domyśleć się, że mowa w niem o głośnym wypadku z dnia 8 września 1909 r.

Tekst wysokogórski w podręczniku szkolnym, zwłaszcza zaś — pióra taternika-literata, można uważać za pomysł zupełnie szczęśliwy. Czy jednak tego rodzaju wspomnienie zostało równie szczęśliwie pomyślane dla wydawnictwa, którego cel streszczony jest w nagłówku? Raczej — niezupełnie... A przecież — dawniej świetny taternik, a dziś — znakomity pisarz, Ferdynand Goetel mógł łatwo wybrać ze swych bogatych przeżyć górskich — inne, bardziej «propagandowe» i... pedagogiczne. W ramach wspomnianej książki wartość jego wzrosłaby niewątpliwie.

Z. Dąbr.

M. TAT: Tragedje ścian tatrzańskich. *Reportaż dokumentów.* «Tempo Dnia» (Kraków), n-ry od dnia 30 sierpnia do dnia 20 września 1933 r.

Ogłoszony pseudonimowo w popularnym dzienniku przegląd najbardziej znanych wypadków w Tatrach w latach 1907—1933 — raz jeszcze świadczy o tem, jak modne w pewnym sensie są dziś tematy taternickie, zwłaszcza ujęte od strony makabryzmu. Reportaż M. Tat. wyróżnia się dobrą wolą i naogół dokładnie — zresztą wtórnie — omawia głośne wypadki. Widać jednak, że autor porusza się na gruncie spraw taternickich trochę niepewnie, stąd różne niedociągnięcia i wiadomości niepełne. W jednym natomiast wypadku umiał autor uzyskać nowy materjał, skutkiem którego reportaż jego zasługuje na baczniejszą uwagę: ogłasza fragment z niedrukowanego dotychczas wspomnienia R. Kordysa z akcji ratowniczej na Małym Jaworowym Szczycie (1910), podając wersję dość różną od dotychczasowej, oficjalnej. Stare dzieje, ale i dziś interesujące świat taternicki.

POLSKI SPORT WYSOKOGÓRSKI W PIŚMIENNICTWIE OBCEM. Wyrazem wzmożonego tempa życia i działań polskich wysokogórców na gruncie zagranicznym — a równocześnie coraz bliższych związków, jakie i na tem polu nawiązujemy z zagranicą — są, coraz częściej pojawiające się w fachowych (i nawet codziennych) czasopismach zagranicznych, notatki i artykuły, mające za temat sprawy polskie. Gdy dawniej szereg lat mógł upłynąć bez wyłapania jednej bodaj bibljograficznej pozycji zagranicznej polskiego wysokogórstwa, dziś znajdujemy takich pozycyj po kilkanaście rocznie. A nie ulega kwestji, że ilość ta będzie się wciąż powiększać.

Notujemy pozycje z lat 1932—1933: 1—18) p. «Taternik» z 1932 r., str. 86 i 104, oraz z 1933 r., str. 48, 70, 116 i 132; 19) «Bulletin trimestriel de la Section de l'Isère» z września 1932 r. zapisuje wejście obojga Golczów na Pointe Richardson i Mont Gioberney w Pelvoux, w maju t. r.; 20) w holenderskiem czasopiśmie «De vriend des huizes» (wyd. w Neerbosch) z marca 1933 r. Jan H. de Groot pisze art. *De Hooge Tatra,* nie zapominając o taternictwie i ilustrując je — niestety dość słabemi — zdjęciami W. Firsoffa; 21) «Rivista Mensile del CAI» z kwietnia 1933 r. drukuje opisy dróg Golcza na Tour Hanka, Tour Tatra i Pointe des Frères Chamois; 22) aż dwu taterników zadało sobie trud wybrania z «Taternika» 63 nowych dróg letnich i zimowych i ogłoszenia ich zestawienia w «Oesterreichische Alpenzeitung» z maja 1933 r. jako *Die neuen Sommer- und Winterturen in der Tatra (1930—1932).* Wybór był nader indywidualny, na pochwałę zasługuje starannie zebrane i na czołowe miejsce wysunięte imiennictwo polskie; 23) H. K. L. (Karol Ludwik Horn) notuje krótko w «Turistásag ès Alpinizmus» z maja 1933 r. sukcesy zimowe Korosadowicza i Staszla, i opisuje bałamutnie śmiertelną wyprawę Birkenmajera; 24) o tymże głośnym wypadku przyniósł również wiadomość szereg dzienników francuskich i niemieckich (czytaliśmy tekst w ljońskim «Le Nouveliste»); 25) *Zpráva o záchrannej expedícii* po zwłoki Birkenmajera ukazała się również w «Vysokých Tatrach» nr. 9—10 z 1933 r, pióra Al. Lutonský'ego; 26) «Krásy Slovenska» z 1933 r. piszą najpierw (str. 96) o wyprawie po zwłoki Birkenmajera, później (str. 110—116) omawiają dość obszernie *Horolezecke neštastia v Tátrach,* m. i. i wypadek na Kościółku; 27) w «Turistásag és Alpinizmus» z marca 1933 r. H. K. L. zapisuje sukces zimowy Duchonia i Zaremby na Łomnicy, w zesz. wakacyjnym tegoż pisma dr. D. Reichart pisze o *Modern alpinizmus a Magas Tátrában*; 28) obszerne omówienie sukcesu i wypadku J. Golcza na Pavé przyniósł, prócz szeregu dzienników, również «Alpinisme» z t. r., str. 285, oraz «Bulletin trimestriel de la Section de l'Isère» z czerwca 1933 r., gdzie i w paru innych miejscach poświęcono uwagę sprawom polskim; 25) «Krásy Slovenska» recenzują dwukrotnie «Taternika» (str. 46 i 119), także «Wierchy» i «Krzesanicę»; 30) kiezmarskie «Karpathen Post» oraz «Turistik, Alpinismus, Wintersport» przynoszą niejednokrotnie wzmianki o polskich nowych drogach w Tatrach, pisały też o wypadku W. Stanisławskiego; 31) «Turistasag és Alpinizmus» z października 1933 r. wyliczyły szereg dróg w Tatrach z dwu ostatnich lat, wyszukanych przez polskich taterników przy udziale węgierskich; 32) ostatnio, jak się ogólnikowo dowiadujemy, niektóre dzienniki zagraniczne przyniosły już również pierwsze wiadomości o wyprawie w Andy.

OD WYDAWNICTWA

Praktyka ostatnich lat wykazała dowodnie, że — jak i w wielu innych sportach — właściwy rok wysokogórski rozpoczyna się w lecie, a kończy na wiosnę. W ścisłym okresie letnim działalność towarzystw wysokogórskich jest w pewnym sensie przerwana i przenosi się indywidualnie w sam teren górski. Taka naturalna i paromiesięczna przerwa nie zaznacza się już natomiast w innych sezonach.

Ten fakt, że poszczególnemi całościami wyodrębnia się w sporcie górskim stale okres od jesieni do wiosny, uwydatniał się wyraźnie i w wydawnictwie «Taternika», w którego kontynuowaniu następowała pomiędzy lipcem a październikiem długa przerwa, rozbijająca jednolitość, ciągłość i celowość kolejnych roczników. Wspólnym planem redakcyjno-wydawniczym łączona była natomiast zawsze powakacyjna połowa jednego rocznika z przedwakacyjną połową rocznika następnego.

Mając te wszystkie względy na uwadze — wydawnictwo «Taternika» już na wiosnę 1933 r. powzięło zamiar rozwiązania tego niedogodnego stanu rzeczy przez zerwanie z kalendarzowym systemem podziału na roczniki, a wprowadzenie roczników poczynających się w jesieni, a kończących późną wiosną. Reformę tę (w której nie jesteśmy bynajmniej odosobnieni, system ten bowiem stosują również takie czasopisma jak «La Montagne» lub «Der Bergsteiger») postanowiliśmy wprowadzać stopniowo, a pierwszym jej etapem był fakt, że rocznik ubiegły (1933) zamknęliśmy już w listopadzie ub. roku, zamiast — jak to było dotychczas praktykowane — w pierwszych miesiącach następnego dopiero roku kalendarzowego.

Obecnie zaczynamy wykonywać etap drugi. Polega on na tem, że bież. roczn. (XVIII, 1934) zostanie zamknięty już w połowie roku. W okresie tym wydamy 4 pojedyncze zeszyty, z których dwa jednak w podwójnej objętości, tak, że P. T. Prenumeratorzy nie poniosą żadnego uszczerbku. Zeszyty te wyjdą: zesz. 1—2 (obecny) w styczniu, zesz. 3 w marcu, zesz. 4 w maju i zesz. 5—6 w lipcu b. r. Zwracamy uwagę, że opłacenie prenumeraty na rok 1934 obowiązywać będzie tylko na wymienionych sześć nominalnych zeszytów.

Z rocznikiem XIX wejdziemy już w okres pracy unormowanej. Rzeczony rocznik obejmie sześć zeszytów, wydanych kolejno w październiku i grudniu 1934 r., oraz w styczniu, marcu, maju i lipcu 1935 r. Jest dążeniem wydawnictwa, aby każdy z tych zeszytów mógł już liczyć 32 strony druku (zamiast obecnych 24-ch) — tak że cały rocznik obejmowałby ogółem 192 strony druku — ale, rzecz prosta, zależne to będzie od naszej ogólnej sytuacji finansowej. W tym celu jednak apelujemy do wszystkich członków STPTT, oraz prenumeratorów «Taternika», o regularne wpłacanie wkładek członkowskich wzgl. prenumeraty, co nam ogromnie może ułatwić nasze zadanie.

Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.